

Fiodor Dostojewski

Potulna

Zechcą mi czytelnicy wybaczyć, że tym razem zamiast *Dziennika* w jego zwykłej postaci daję tylko opowieść, ale naprawdę zabrała mi większą część miesiąca. W każdym razie proszę czytelników o pobłażliwość.

A teraz co do samego opowiadania. Określiłem je jako „fantastyczne”, mimo że uważam je za wysoce prawdziwe. Lecz element fantastyki jest tu istotnie, i to w samej formie opowiadania, co też uważam za konieczne wyjaśnić na wstępie.

Rzecz w tym, że nie jest to ani opowiadanie, ani pamiętnik. Proszę sobie wyobrazić męża, który ma przed sobą na stole zwłoki żony, samobójczyni, która kilka godzin temu wyskoczyła oknem. Jest wzburzony, nie zdążył jeszcze skupić myśli. Chodzi po mieszkaniu i usiłuje zrozumieć, co się stało, „skupić myśli w jedno ognisko”. W dodatku jest to niepoprawny hipochondryk, z gatunku tych, co to rozmawiają sami ze sobą. No i rozmawia sam ze sobą, opowiada o tym, co się stało, próbuje to sobie wyjaśnić. Mimo pozornej konsekwencji opowieści raz po raz popada on w sprzeczność zarówno logiczną, jak uczuciową. Usprawiedliwia się i oskarża żonę, i zbacza z tematu zapuszczając się w różne dygresje; a w tym wszystkim jest i prostactwo myśli i serca, i głębokie uczucie. Stopniowo, krok po kroku, rzeczywiście wyjaśnia sobie rzecz całą i skupia „myśli w jedno ognisko”. Szereg rozbudzonych wspomnień nieodparcie przywodzi go w końcu ku prawdzie, a prawda nieodparcie uszlachetnia jego umysł i serce. Pod koniec zmienia się nawet ton opowieści w porównaniu z jej chaotycznym początkiem. Prawda objawia się nieszczęsnemu dość jasno i wyraziście, przynajmniej dla niego samego.

Taki jest temat. Oczywiście proces opowiadania trwa kilka godzin, z przerwami i wtrętami, w formie dość chaotycznej: narrator to mówi do siebie, to znów zwraca się jakby do niewidocznego słuchacza, do jakiegoś sędziego. Tak zresztą bywa zawsze w rzeczywistości. Gdyby mógł go posłuchać stenograf i wszystko od razu zapisać, zapis byłby nieco bardziej chropawy, mniej gładki niż u mnie, lecz wydaje mi się, że proces psychologiczny pozostałby chyba ten sam. Otóż właśnie to założenie o notującym wszystko stenografie (po którym ja bym opracował zapis) jest tym, co nazywam w tej opowieści pierwiastkiem fantastycznym. Ale coś podobnego w pewnej mierze stosowano już nieraz w literaturze: na przykład Wiktor Hugo w swoim arcydziele *Ostatni dzień skazańca* użył prawie takiego samego chwytu i choć nie wprowadził

stenografa, dopuścił się jeszcze większego nieprawdopodobieństwa zakładając, że człowiek skazany na śmierć może (i ma czas) prowadzić notatki w ostatnim dniu życia, w ostatniej godzinie, ba — dosłownie w ostatniej minucie. Ale gdyby sobie na tę fantazję nie pozwolił, nie powstałby w ogóle utwór — najrealniejszy, najprawdziwszy ze wszystkich, jakie napisał.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Kim byłem ja a kim ona

...Póki jeszcze tu jest — wszystko dobrze: podchodzę, i patrzę co chwila, ale gdy ją jutro zabiorą — jakże zostanę sam jeden? Teraz jest w salonie na stole, zsunęliśmy dwa stoliki do kart, a trumna będzie jutro, biała, biały atłas, a zresztą nie o tym miałem... Ja wciąż chodzę i chcę to zrozumieć. Już od sześciu godzin usiłuję zrozumieć, ale wciąż się nie mogę skupić. W tym właśnie rzecz, że wciąż chodzę i chodzę, i chodzę... To było tak. Po prostu opowiem po kolei, porządnie. (Porządek!) Proszę państwa, nie jestem w ogóle literatem, bynajmniej, i wy to widzicie, ale niech tam, opowiem tak, jak sam to rozumiem. W tym właśnie cała groza, że ja wszystko rozumiem!

Więc jeżeli was to interesuje, to znaczy, jeżeli mam zacząć od samego początku — po prostu przychodziła wtedy do mnie zastawiać rzeczy, aby mieć pieniądze na opłacanie anonsów w „Głosie”, że niby tak a tak, guwernantka przyjmie kondycję, może wyjechać lub przychodzić na lekcje do domu, itd., itp. Tak było na samym początku i nie odróżniałem jej naturalnie od innych: przychodzi jak wszyscy, i tak dalej. Ale potem zacząłem odróżniać. Była taka szczuplutka, blondyneczka, średniego wzrostu, wobec mnie zawsze jakaś niezręczna, jakby zmieszana (pewnie była taka wobec wszystkich obcych, a ja, ma się rozumieć, byłem dla niej taki sam jak każdy inny, oczywiście nie jako zastawnik, lecz jako człowiek). Otrzymałszy pieniądze, od razu w tył zwrot i wychodzi. I zawsze w milczeniu. Inni to się sprzecniają, proszą, targują się, żeby więcej uzyskać, ona — nie, weźmie, ile dam... Zdaje się, że coś płaczę... Aha, przede wszystkim zaskoczyły mnie jej rzeczy: srebrne pozłacane kolczyki, jakiś lichy medalionik — takie groszowe rzeczy. Sama zresztą wiedziała, że są warte grosze, ale wyczytałem z jej twarzy, że dla niej są bardzo cenne — i w istocie było to wszystko, co jej zostało po rodzicach, potem się dowiedziałem. Raz tylko pozwoliłem sobie na uśmiech na widok jej rzeczy. Ja sobie na to, uważacie państwo, nigdy nie pozwalałem, wobec klientów zachowuję się po dżentelmeńsku: mówię mało, uprzejmie i surowo. „Surowo, surowo i surowo”. Ale pozwoliła sobie raptem przynieść resztki (dosłownie resztki) jakiejś starej zajęczej salopki — i wypsnęło mi się coś w rodzaju żartu. Boże, jak się zachnęła! Oczy ma wielkie, niebieskie, pełne zadumy, ale — jakże się zaiskrzyły! Lecz nie rzekła słowa, zabrała swoje „resztki” i — poszła. Wtedy właśnie spostrzegłem ją po raz pierwszy w szczególny sposób i pomyślałem o niej coś w tym rodzaju, to znaczy coś właśnie w szczególnym rodzaju. Aha, pamiętam jeszcze jedno wrażenie, a właściwie, prawdę mówiąc, główne wrażenie, po prostu syntezę: mianowicie, że jest strasznie młoda, tak młodziutka, jakby miała dopiero czternaście lat. A przecież miała już wtedy prawie szesnaście, bez trzech miesięcy. A zresztą nie to chciałem powiedzieć, wcale nie w tym była synteza.

Nazajutrz znów przyszła. Dowiedziałem się potem, że była z tą salopką u Dobronrawowa i u Mozera, ale ci oprócz złota niczego nie przyjmują i nawet z nią gadać nie chcieli. Ja natomiast przyjąłem od niej kiedyś kameę (ot, takie byle co) — a po chwili sam się zdziwiłem: ja przecież także nie przyjmuję nic oprócz złota i srebra, a od niej raptem zgodziłem się na kameę. Była to wtedy druga myśl o niej, pamiętam.

Tym razem, to znaczy po Mozerze, przyniosła bursztynowy munsztuk — ot, taki sobie drobiazg, dla nas też bez wartości, bo my uznajemy tylko złoto. Ponieważ było to po wczorajszym buncie, przyjąłem ją surowo. Surowość u mnie oznacza oschłość. A jednak wręczając jej dwa ruble nie wytrzymałem i oświadczyłem z niejaką irytacją: „Robię to tylko dla pani, bo Mozer nie przyjąłby czegoś takiego”. Słowa „dla pani” wypowiedziałem ze szczególnym naciskiem, i to właśnie w pewnym sensie. Znów się zachnęła usłyszawszy te słowa, ale nic nie powiedziała, nie rzuciła pieniędzy, przyjęła — co znaczy bieda! Ale jak się zachnęła! Zrozumiałem, że dotknął boleśnie. A gdy wyszła, zadałem sobie nagle pytanie: „Czyżby triumf nad nią wart był dwa ruble?” Ha, ha, ha! Pamiętam, że zadałem sobie właśnie to pytanie dwa razy: „Czy był wart? Czy był wart?” I śmiejąc się odpowiedziałem sobie na nie twierdząco. O, bardzo mnie to wtedy ubawiło. Ale nie było to brzydkie uczucie: zrobiłem to rozmyślnie, w określonym celu: chciałem ją wystawić na próbę, bo nagle zaświtał mi w związku z nią pewien pomysł. Była to moja trzecia szczególna myśl o niej.

...No i właśnie od tej chwili wszystko się zaczęło. Naturalnie od razu postarałem się dowiedzieć o niej wszystkiego pośrednio i oczekiwałem jej przyjścia z wielką niecierpliwością. Przewidywałem, że wkrótce przyjdzie. Kiedy przyszła, wszcząłem uprzejmą rozmowę z niezwykłym ugrzecznieniem. Jestem przecież nieźle wychowany i mam dobre maniere. Hm! Wtedy się domyśliłem, że jest dobra i potulna. Dobrzy i potulni ludzie nie opierają się długo i jeśli nawet nie są skłonni do zwierzeń, od rozmowy nie potrafią się wykręcić ani rusz, odpowiadają skąpo, ale bądź co bądź odpowiadają, im dalej, tym więcej, byle się nie zniechęcać, jeżeli nam zależy. Ma się rozumieć, sama niczego mi wtedy nie wyjaśniła. Potem dopiero dowiedziałem się o „Głosie” i o wszystkim. Ogłaszała się wtedy rozpaczliwie, z początku, rozumie się, ambitnie: tak a tak, „guwernantka przyjmie kondycję, może wyjechać, oferty przysyłać listem poleconym”, a potem „przyjmie wszelkie warunki, zgodzi się udzielać korepetycji i do towarzystwa, i zajmować się gospodarstwem, i pielęgnować chorą osobę, i szyć umiem” itd. — znane rzeczy! Oczywiście wszystko to dodawano w ogłoszeniu w różnych wariantach, a pod sam koniec, kiedy sytuacja stała się rozpaczliwa, to nawet „bez pensji, za samo utrzymanie”. I cóż — nie znalazła posady! Postanowiłem ją wtedy wypróbować po raz ostatni: biorę nagle dzisiejszy „Głos” i pokazuję jej anons: „Młoda osoba, sierota, szuka posady guwernantki do małych dzieci, najchętniej u starszego wdowca. Może pomóc w gospodarstwie”.

— O, widzi pani, ta się dziś ogłosiła, a do wieczora na pewno znajdzie miejsce. Tak się trzeba ogłaszać!

Znów się zachnęła, znów oczy się zaiskrzyły, w tył zwrot i już jej nie było. Bardzo mi się to spodobało. Zresztą byłem już wtedy całkiem pewien swego i nie obawiałem się wiedząc, że przecież munsztuków nikt nie przyjmie, tym bardziej że już nie miała nawet munsztuków. No i faktycznie, na trzeci dzień przychodzi bledziutka, wzburzona — domyśliłem się, że coś musiało zajść w domu, i rzeczywiście zaszło. Zaraz powiem, co zaszło, ale teraz chcę tylko opowiedzieć, jak to nagle zadałem szyku i

uroszem w jej oczach. Taki raptem zamiar powziąłem. Chodzi o to, że przyniosła ten obraz (zdecydowała się przynieść)... Ach, słuchajcie, słuchajcie! Teraz to się już naprawdę zaczęło, bo przedtem jakoś tylko krążyłem... Chodzi o to, że teraz chcę to wszystko sobie przypomnieć, każdy drobiazg, najdrobniejszy szczegół. Wciąż chcę skupić myśli w jedno ognisko i — nie mogę, bo ciągle te szczegóły, szczególiki, drobiazgi...

Obraz Matki Boskiej, Matka Boska z Dzieciątkiem — familijny, antyczny, w srebrnej pozłacanej oprawie, wart — no, ze sześć rubli wart. Widzę, że jej bardzo zależy na tym obrazie — zastawia cały, nie zdejmując oprawy. Mówię do niej:

— Lepiej byłoby zdjąć oprawę, a obraz zabrać, bo obraz to jednak jakoś nie tego...

— A co, to jest zakazane?

— Ach, nie o to chodzi, ale chyba dla pani samej...

— No to proszę zdjąć.

— Wie pani co, nie będę zdejmował, ale postawię tam, w ołtarzyku — powiedziałem po namyśle — obok innych obrazów, pod lampką (u mnie zawsze, od chwili otwarcia kasy, paliła się lampka oliwna), i proszę po prostu wziąć dziesięć rubli.

— Nie potrzebuję dziesięciu, niech pan da pięć, na pewno wykupię.

— Nie chce pani dziesięciu? Obraz wart jest tyle — dodałem zauważywszy, że oczęta jej znów zaiskrzyły się. Milczała. Wręczyłem jej pięć rubli.

— Nie trzeba nikim gardzić, sam byłem w takich opałach, nawet w jeszcze gorszych, i jeżeli widzi mnie pani teraz przy takim zajęciu... to po tym wszystkim, co zniosłem...

— Mści się pan na społeczeństwie? Tak? — przerwała mi nagle z dość zjadliwą ironią, w której było zresztą sporo pobłażliwości (to znaczy nie był to przytyk osobisty, bo na pewno nie odróżniała mnie wtedy od innych, tak iż zabrzmiało to prawie nieszkodliwie). „Aha — pomyślałem — takie z ciebie ziółko, nowomodny charakter”.

— Widzi pani — odparłem pół żartem, pół tajemniczo: „Jam jest tej siły częścią drobną, co zawsze złego chce — i zawsze sprawia dobro”...

Spojrzała na mnie szybko i z wielkim zaciekawieniem, bardzo zresztą dziecinnym.

— Chwileczkę... Co to za myśli? Skąd to jest? Już to chyba słyszałam...

— Niech się pani nie głowi, tymi słowami przedstawia się Mefistofeles Faustowi. Czytała pani Fausta?

— Nie... nieuważnie.

— A więc w ogóle pani nie czytała. Trzeba przeczytać. Ale znów widzę na pani ustach ironiczny uśmiech. Proszę mnie nie posądzać o taki brak smaku, że dla upiększenia roli zastawnika przedstawiam siebie jako Mefistofelesa. Zastawnik zastawnikiem zostanie. Wiadoma rzecz.

— Jaki pan dziwny... Wcale nie chciałam tego powiedzieć...

Miała ochotę powiedzieć: „Nie spodziewałam się, że pan jest wykształconym człowiekiem”, ale nie powiedziała, ja jednak wiedziałem, że to pomyślała. Ogromnie jej zaimponowałem.

— Widzi pani — zauważyłem — na każdym polu można czynić dobrze.

Oczywiście nie mówię o sobie, nic dobrego, powiedzmy, nie robię, ale...

— Oczywiście można dobrze czynić w każdym miejscu — powiedziała

obrzuciwszy mnie szybkim, przenikliwym spojrzeniem. — Właśnie w każdym miejscu — dodała raptem.

O, ja pamiętam, wszystkie te chwile pamiętam! I chcę jeszcze dodać, że kiedy ta młódzież, ta kochana młódzież, chce powiedzieć coś mądrego i głębokiego, to zbyt szczerze i naiwnie odmaluje się na ich twarzy, że „widzisz, bracie, mówię et oto coś mądrego i głębokiego” — ale nie z próżności to czyni, jak my, lecz widać od razu, że sama ogromnie ceni to wszystko i wierzy głęboko i poważa, i myśli, że my to poważamy tak samo, jak ona. Ach, ta szczerłość! Tym właśnie nas rozbrajają. A u niej jakież to było urocze!

Pamiętam, niczego nie zapomniałem! Kiedy poszła, od razu postanowiłem. Tego samego dnia poszedłem po raz ostatni na zwiady i dowiedziałem się o niej wszystkiego od A do Z, teraz już o jej obecnym życiu; o poprzednim wiedziałem już wszystko od Łukierii, która wtedy u nich służyła i którą przekupiłem parę dni wcześniej. To, czego się dowiedziałem, było tak straszne, że w ogóle nie rozumiem, jak mogła śmiać się przed chwilą i interesować słowami Mefistofelesa, będąc w tak okropnej sytuacji. Ale — taka jest młódzież! Tak właśnie pomyślałem o niej wtedy z dumą i radością, bo jest w tym wszakże i wielkoduszność: widzicie, stoję nad brzegiem przepaści, a jednak wielkie słowa Goethego jaśnieją. Młodość jest zawsze, bodaj odrobinę i bodaj w nieodpowiednim kierunku, wielkoduszna. Chociaż właściwie mówię tylko o niej jednej. A przede wszystkim patrzyłem już wtedy na nią jak na moją i nie wątpiłem o swej potędze. Wiecie państwo, to wysoce lubieżna myśl, kiedy się już nie wąpi.

Ale cóż to się ze mną dzieje? Jeżeli tak pójdzie dalej, kiedyż skupię to wszystko w jedno ognisko? Prędeż, prędeż — przecież nie o to chodzi, o Boże!

II

Oświadczyły

„Wszystko od A do Z”, czego się dowiedziałem o niej, da się streścić w paru słowach: jej rodzice zmarli już dawno, przed trzema laty, i wtedy zamieszkała u ciotek, które nie były *comme il faut*. Właściwie to za mało powiedzieć o nich nie *comme il faut*. Jedna z ciotek to wdowa obarczona liczną rodziną — sześcioro dzieci, sam drobiazg. Druga panna, stara, wstrętna. Obie wstrętne. Ojciec jej był urzędnikiem, ale z kancelistów, szlachcicem tylko z nominacji — słowem, wszystko mi sprzyjało. Zjawiłem się jakby z wyższego świata: byłem przecież bądź co bądź dymisjonowanym sztabskapitanem świetnego pułku, rodowitym szlachcicem, człowiekiem niezależnym itd., no a kasa pożyczkowa w ciotkach mogła budzić tylko szacunek. Była u ciotek trzy lata w niewoli, ale mimo to zdała gdzieś egzamin — zdołała zdać, udało jej się zdać mimo stałej bezlitosnej harówki — a to przecież świadczyło o dążeniu do czegoś wyższego, wzniosłego! Bo i czemu chciałem się żenić? A zresztą, do diabła ze mną, o tym później... I czy w ogóle o to chodzi! — Dzieci ciotczyne uczyła, szyła bieliznę, a pod koniec nie tylko szyła, lecz z tymi jej płucami nawet podłogi szorowała. A one ją biły po prostu, każdy kęs wymawiały. Doszło do tego, że miały zamiar ją sprzedać. Tfu! opuszczam ohydne szczegóły... Później opowiedziała mi wszystko dokładnie.

Wszystko to obserwował przez cały rok sąsiad, gruby sklepikarz, ale nie jakiś tam zwyczajny sklepikarz, lecz właściciel dwóch sklepów kolonialnych. Zdążył już dwie żony wykończyć i szukał trzeciej, no i ją właśnie sobie wypatrzył: spokojna, myślał

pewnie, wyrosła w biedzie, a ja się żenię ze względu na moje sieroty. W istocie miał sieroty. Posłał swaty, zaczął omawiać rzecz z ciotkami, w dodatku miał pięćdziesiąt lat. Oczywiście była w rozpaczy. No i wtedy zaczęła przychodzić do mnie w związku z ogłoszeniami w gazecie. Wreszcie zaczęła błagać ciotki, żeby jej dały odrobinę czasu do namysłu. Dały jej tę „odrobinę”, ale tylko raz, drugi raz już nie dały, zdręczały ją wymówkami: „Same nie mamy co do ust włożyć, nie trzeba nam dodatkowej gęby”. Wiedziałem już o tym wszystkim, a po tym, co się stało rano, zdecydowałem się ostatecznie. Wieczorem tego dnia przyjechał kupiec, przywiózł ze sklepu funt cukierków za pół rubla. Ona z nim siedzi, a ja wywołałem z kuchni Łukierię i kazałem jej szepnąć, że czekam w bramie i chcę z nią pomówić w bardzo pilnej sprawie. Byłem z siebie zadowolony. W ogóle przez cały tamten dzień byłem niezwykle zadowolony.

No i zaraz tam, w bramie, w obecności Łukierii, oświadczyłem jej — zdumionej już tym, że ją wywołałem — że będę sobie poczytywał za szczęście i zaszczyt... Po drugie: żeby się nie dziwiła tej formie i że w bramie, bo człowiek ze mnie szczery, no i wiem, jak się rzeczy mają. Nie kłamałem — jestem szczery. Ach, do licha z tym... A mówiłem nie tylko przyzwoicie, to znaczy prezentując się jako człowiek z wychowaniem, lecz i oryginalnie, a to przecież najważniejsze. Cóż, czy to zbrodnia przyznać się do tego? Chcę siebie sądzić — i sądzę. Muszę mówić pro i contra — i mówię. Później też wspominałem to z lubością, chociaż to głupie: po prostu oświadczyłem wtedy bez najmniejszego zakłopotania, że po pierwsze nie jestem specjalnie uzdolniony, niespecjalnie mądry, dość przeciętny egoista (pamiętam to wyrażenie, wymyśliłem je sobie wtedy po drodze i byłem z niego bardzo zadowolony) i że bardzo, ale to bardzo możliwe, że mam wiele innych niemiłych cech. Wszystko to zostało powiedziane ze szczególnego rodzaju dumą — wiadomo, jak się mówi takie rzeczy. Oczywiście starczyło mi taktu, żeby uczciwie wymieniwszy moje wady, nie zabrać się do wyliczania zalet: „że niby w zamian mam to i owo”. Widziałem, że na razie ona jeszcze strasznie się boi, ale nie złagodziłem niczego — więcej, widząc, że się boi, rozmyślnie podkreśliłem: powiedziałem bez ogródek, że głodu nie zazna, ale strojów, teatrów, balów — o, tego nie będzie, chyba że w przyszłości, kiedy osiągnę swój cel. Ten surowy ton mnie naprawdę upajał. Dodałem, też jakby mimochodem, że jeżeli zajmuję się czymś takim, to znaczy prowadzę tę kasę, to mam w tym pewien określony cel, bo jest pewna okoliczność... Przecież miałem prawo tak mówić: rzeczywiście miałem taki cel i taką okoliczność. Chwileczkę, proszę państwa, sam przez całe życie nienawidziłem tej kasy pożyczkowej, ale wszak w istocie, choć to śmieszne mówić do siebie samego zagadkowymi zdaniem — przecież „mściłem się na społeczeństwie”, naprawdę, naprawdę, naprawdę! Tak iż jej ironiczna uwaga tego rana o tej mojej „zemście” była niesprawiedliwa. To jest, widzicie państwo, gdybym powiedział jej wprost te słowa: „Tak, mszczę się na społeczeństwie”, roześmiałyby się jak z rana i wypadłoby to w samej rzeczy śmiesznie. No a taką pośrednią aluzją, rzucając zagadkowe zdanie, okazało się, można podzielać na wyobraźnię. W dodatku niczego się już wtedy nie bałem: wiedziałem przecież, że gruby sklepikarz jest dla niej bądź co bądź wstrętniejszy ode mnie i że ja, stojąc tu w bramie, jestem zbawcą. Rozumiałem to przecież. O, podłość człowiek szczególnie dobrze rozumie! Ale czy to jest podłość? Jakże tu sądzić człowieka? Czyż już wtedy jej nie kochałem?

Chwileczkę: oczywiście nie napomknąłem jej wtedy ani słowem o dobrodziejstwie,

na odwrót: „że to ja muszę być wdzięczny, nie pani”. Tak iż nawet to wyraziłem słowami, nie mogłem się powstrzymać, i pewnie wypadło to głupio, bo dostrzegłem przelotny skurcz na jej twarzy. Ale w sumie stanowczo wygrałem. Chwileczkę, jeżeli już mam tę ohydę wywlekać, przypomnę także ostatnie świństwo: gdy tak stałem, chodziło mi po głowie: jesteś smukły, wysoki, dobrze ułożony — i wreszcie, mówiąc bez fanfaronady, całkiem przystojny. Takie to myśli snuły się w moim mózgu. Ma się rozumieć, zaraz w bramie powiedziała mi tak. Ale... ale muszę dodać, że w tejże bramie długo się namyślała, zanim powiedziała to tak. Zamyśliła się do tego stopnia, że aż spytałem: „No i co?” — nie wytrzymałem i spytałem takim dziarskim tonem, z naciskiem: „No i co?” — z ironicznym szacunkiem.

— Proszę zaczekać, zastanawiam się.

I taką poważną miała twarzyczkę, taką — że już wtedy mogłem być wyczytać! A ja się czułem dotknięty: „Czy możliwe — myślałem — że wybiera między mną a kupcem?” Ach, wtedy jeszcze nie rozumiałem! Niczego jeszcze nie rozumiałem! Do dzisiaj nie rozumiałem! Pamiętam, Łukieria wybiegła za mną, kiedy już odchodziłem, zatrzymała na drodze i rzekła zdyszana: „Bóg zapłać, że pan bierze naszą kochaną panienkę, tylko proszę jej tego nie mówić, bo ona jest dumna”.

A, dumna! Właściwie to lubię dumne osobki. Dobre są zwłaszcza wtedy, kiedy... ano, kiedy już nie wąpimy o naszej władzy nad nimi, co? O, podły, niezręczny człowieku! Ach, jakież byłem zadowolony! A wiecie państwo, kiedy tak stała zamyślona w bramie, zanim powiedziała mi tak, a ja się dziwiłem — czy wiecie, że mogła nawet tak pomyśleć: „Jeżeli jedno, i drugie jest nieszczęściem, to czy nie lepiej wybrać od razu to najgorsze, to znaczy grubego sklepikarza — niech po pijanemu czym prędzej zatłucze na śmierć!” Co? Jak sądzicie, mogło jej to przyjść do głowy?

Ale i teraz nie rozumiem, nawet teraz nic nie rozumiem! Powiedziałem przed chwilą, że mogła tak pomyśleć: a gdyby tak z dwojga nieszczęść wybrać gorsze, czyli kupca? Ale kto był dla niej wtedy gorszy — ja czy kupiec? Kupiec czy zastawnik cytujący Goethego? To jeszcze pytanie! Jakie pytanie? Tego też nie rozumiesz: odpowiedź leży na stole, a ty powiadasz — pytanie! A, do diabła ze mną! Wcale nie o mnie idzie... Zresztą, co mi teraz do tego, czy idzie o mnie, czy nie o mnie? Tego to już w ogóle nie mogę rozstrzygnąć. Trzeba by się położyć. Głowa boli...

III

Najszlachetniejszy z ludzi, ale sam w to nie wierzę

Nie, nie zasnąłem. Skąd, cały czas coś pulsuje w głowie. Chcę to wszystko zrozumieć, całą tę ohydę. O, co za ohyda! O, z jakiego błota ją wtedy wyciągnąłem! Przecież powinna to była zrozumieć, docenić mój postępek! Podobały mi się też różne myśli, na przykład, że ja mam czterdzieści jeden, a ona zaledwie szesnaście. To mnie upajało, to poczucie nierówności, bardzo to rozkoszne, ach! bardzo.

Chciałem właściwie urządzić ślub *à l'anglaise*, czyli tylko we dwoje, najwyżej z dwojgiem świadków, z których jednym byłaby Łukieria, a potem od razu do pociągu, oł, choćby do Moskwy (tam miałem akurat coś do załatwienia), do hotelu, na jakies dwa tygodnie. Sprzeciwiła się, nie zgodziła, i byłem zmuszony złożyć oficjalną wizytę jej ciotkom jako krewnym, od których ją biorę. Ustąpiłem, i ciotkom zostały okazane należyte względy. Dałem nawet tym kreaturom po sto rubli i obiecałem, że dam jeszcze, naturalnie jej o tym nie wspominając, żeby nie martwić jej nikczemnością tej

atmosfery. Ciotki od razu zrobiły się takie, że do rany przyłożyć. Była także różnica zdań co do wyprawy: nic nie miała, prawie dosłownie nic, ale niczego nie chciała. Jednak udało mi się ją przekonać, że w ogóle bez niczego — nie można, i sam załatwiłem wyprawę, bo i któż by coś dla niej załatwił? No, ale do diabła ze mną. Różne swoje poglądy zdążyłem jej jednak już wtedy przedstawić, żeby przynajmniej wiedziała. Może się nawet zbyt, z tym pośpieszyłem. Przede wszystkim ona zaraz na początku, mimo że się starała hamować, rzucała mi się niemal na szyję; kiedy przyjeżdżałem wieczorami, witała z zachwytem, opowiadała tym swoim dziecinnyim szczebiotem (uroczym szczebiotem niewinności!) całe swoje dzieciństwo, o domu rodzinnym, o ojcu i matce. Ale ja ten entuzjazm od razu zgasilem. Na tym właśnie polegał mój system. Na zachwyty odpowiadałem milczeniem, oczywiście życzliwym... ale mimo to prędko dostrzegła, że jest między nami różnica i że jestem zagadką. A ja właśnie biłem na zagadkę! Przecież całe to głupstwo popełniłem może po to właśnie, żeby zadać zagadkę! Przede wszystkim oschłość — pod tym znakiem wprowadziłem ją do swego domu. Słowem, mimo że byłem wtedy zadowolony, stworzyłem cały system. O, powstał sam z siebie, bez żadnego silenia się z mojej strony. A i nie można było inaczej, musiałem tworzyć ten system z konieczności — czemuż ja siebie szkaluję doprawdy! Był to prawdziwy system. Nie, posłuchajcie, skoro już trzeba sądzić człowieka, to pod warunkiem, że się zna sprawę... Słuchajcie!

Jak by tu zacząć, bo to jest bardzo trudne. Kiedy się zaczynamy usprawiedliwiać — zjawia się trudność. Widzicie bo: młodzież na przykład pogardza pieniędzmi — więc położyłem od razu nacisk na pieniądze. Taki nacisk, że zaczęła stopniowo milknąć. Otwierała szeroko oczy, słuchała, patrzyła — i milkła. Bo, widzicie, młodzież jest wielkoduszna, oczywiście dobra młodzież, wielkoduszna i porywcza, ale niezbyt tolerancyjna, ledwo coś nie po jej myśli — już się zjawia pogarda. A ja chciałem szerszych poglądów, chciałem zaszczepić tolerancję wprost w serce, w serdeczne przekonania, nieprawdaż? Wezmę najpospolitszy przykład: jak miałem na przykład wytłumaczyć swoją kasę pożyczkową takiemu charakterowi? Ma się rozumieć, nie zacząłem wprost, bo wyglądałoby, że błagam o wyrozumiałość dla tej kasy pożyczkowej, a ja, że tak powiem, działałem za pomocą dumy, mówiłem prawie milcząc. O, jestem mistrzem w mówieniu milcząc, całe swoje życie przegadałem w milczeniu, całe tragedie przeżyłem sam ze sobą w milczeniu. Ach, wszak i ja byłem nieszczęśliwy! Byłem odtrącony przez wszystkich, odtrącony i zapomniany, ale o tym nikt a nikt nie wie. I raptem ta szesnastolatka nzbierała informacji o mnie od podłych ludzi i myślała, że wie wszystko, a tymczasem to, co najskrytsze, zostało w sercu tylko jednego człowieka! Ja wciąż milczałem, zwłaszcza z nią milczałem, aż do wczorajszego dnia — a dlaczego milczałem? A jako dumny człowiek. Chciałem, żeby się dowiedziała sama, beze mnie, ale już nie z opowiadań nikczemników, lecz żeby się sama domyśliła tego człowieka i pojęła go! Wprowadzając ją do swojego domu, chciałem całkowitego szacunku. Chciałem, żeby klęczała przede mną za moje cierpienia — zasługiwałem na to. O, ja zawsze byłem dumny, zawsze chciałem mieć wszystko lub nic! Właśnie dlatego, że nie chciałem połowicznego szczęścia, lecz całego — właśnie dlatego musiałem wtedy tak postąpić: żeby sama się domyśliła i oceniła! Bo, nieprawdaż, gdybym zaczął się przed nią tłumaczyć i podpowiadać, przymilać się i upominać o szacunek — byłoby to tym samym, co upominać się o jałmużnę... A zresztą... a zresztą po co ja o tym mówię!

Och, jakież to głupie, głupie, głupie i jeszcze raz głupie! Bez ogródek i bezlitośnie (podkreślam, że bezlitośnie) wytłumaczyłem jej wtedy w paru słowach, że wielkoduszność młodzieży jest piękna, ale — nic niewarta. A dlaczego niewarta? A dlatego, że łatwo im przyszła, spadła z nieba, że są to, że tak powiem, „pierwsze wrażenia egzystencji”, ale zobaczymy, jak będziecie wyglądali w praktycznym życiu! Tania wielkoduszność jest zawsze łatwa, nawet oddać życie — nawet i to nie za drogo kosztuje, bo to tylko krew kipi z nadmiaru sił, z namiętnego dążenia do piękna! Ale weźmy dzieło wielkoduszne, trudne, ciche, niedosłyszalne, bez blasku, na które się rzuca potwarz, w którym jest dużo ofiary i ani kropli chwały — w którym ty, wzniosły człowieku, uchodzisz wobec wszystkich za szubrawca, mimo że jesteś najuczciwszym człowiekiem na ziemi — ano spróbujcie udźwignąć takie dzieło — nie, łaskawcy, odmówcie! A ja — ja przez całe życie nic tylko dźwigałem takie dzieło.

Z początku spierała się, i to jak, a potem zaczęła milknąć, nawet całkiem umilkła, tylko oczy szeroko otwierała słuchając, takie wielkie, uważne. I... i prócz tego zobaczyłem nagle uśmiech — nieufny, niemy, niedobry. Z tym uśmiechem wprowadziłem ją do mego domu. Co prawda nie miała już dokąd iść...

IV

Wciąż plany i plany

Kto z nas wtedy pierwszy zaczął?

Nikt. Samo się zaczęło od pierwszej chwili. Powiedziałem, że ją wprowadziłem do domu pod znakiem surowości, jednakże od pierwszej chwili złagodziłem. Jeszcze przed ślubem oznajmiłem jej, że się zajmie przyjmowaniem zastawów i wypłacaniem pieniędzy, i przecież wtedy nic nie powiedziała (na to proszę zwrócić uwagę). Mało tego — zabrała się do roboty nawet gorliwie. Oczywiście mieszkanie, meble — wszystko zostało po staremu. Moje mieszkanie to dwa pokoje; jeden to duży salon, gdzie za przegródką jest także kasa, a drugi też duży, nasz pokój, wspólny, a jednocześnie sypialnia. Meble mam nędzne, nawet ciotki miały lepsze. Ołtarzyk z lampką — w salonie, tam gdzie kasa, a w moim pokoju szafa, w niej kilka książek i kufer, ja mam klucze do niego, no i łóżko, stoły, krzesła. Jeszcze przed ślubem powiedziałem, że na nasze utrzymanie, dla mnie, dla niej i dla Łukierii, którą do nas zwabiłem, przeznaczam rubla dziennie, nie więcej, bo „muszę mieć trzydzieści tysięcy rocznie, inaczej się nie uskłada pieniędzy”. Nie sprzeciwiała się, ale sam podwyższyłem fundusz na utrzymanie o trzydzieści kopiejek. To samo z teatrem. Mówiłem przed ślubem, że teatru nie będzie, a jednak postanowiłem, że będzie raz na miesiąc, i to przyzwoicie, fotele. Chodziliśmy razem, byliśmy trzy razy, widzieliśmy *Pogoń za szczęściem* i *Śpiewające ptaki*, zdaje się (o, do diabła z tym, do diabła!). Chodziliśmy w milczeniu i w milczeniu wracaliśmy. Dlaczego, ach dlaczego od samego początku milczeliśmy? Na początku przecież nie było kłótni, ale już wtedy milczenie. Wciąż jakoś, pamiętam, zerkala na mnie z ukosa; zauważyłem to kiedyś i milczałem jeszcze bardziej zaciekle. Tak, to ja do milczenia dążyłem, nie ona. Z jej strony raz czy dwa były jakieś porywy, rzucała mi się na szyję, ale ponieważ porywy były chorobliwe, histeryczne, a mnie trzeba było szczęścia solidnego, opartego na jej szacunku, przyjąłem to chłodno. No i miałem rację: za każdym razem po porywach nazajutrz była kłótnia.

To jest kłótni właściwie nie było, ale było milczenie i — coraz częściej, zuchwała

mina z jej strony. „Bunt i niezależność” — tak, to było właściwie to, chociaż nie bardzo umiała. Tak, ta potulna istota stawała się coraz zuchwalsza. Czy dacie wiarę, że zaczynała czuć do mnie odrazę? Niewątpliwie chwilami traciła panowanie nad sobą. Jak mogła na przykład, wydostawszy się z takiej nędzy i ohydy, włącznie z szorowaniem podłóg! — jak mogła sarkać na nasze ubóstwo? Nie ubóstwo to było, uważacie, lecz oszczędność, a gdzie trzeba — to nawet zbytek, na przykład w bieliźnie, w czystości. Od dawna roiłem sobie, że schludność męża pociąga żonę. Zresztą nie na biedę narzekała, lecz na moje rzekome sknerstwo w gospodarowaniu: „że niby, patrzajcie go, jakie to ma cele, jaki to wykazuje niezłomny charakter”. Z teatru sama nagle zrezygnowała. I coraz częściej ten ironiczny grymas... a ja milczę coraz bardziej zawzięcie.

Przecież nie będę się usprawiedliwiał, co? Najważniejsza w tym była ta kasa pożyczkowa. Za pozwoleniem: wiedziałem, że kobieta, w dodatku szesnastoletnia, nie może nie podporządkować się całkowicie mężczyźnie. Kobietom brak oryginalności, to — to jest pewnik, nawet teraz, nawet i teraz jest to dla mnie pewnik! A cóż to jest — to co tam leży w salonie: prawda jest prawdą i nawet sam Mill nic tu nie poradzi! A kobieta kochająca — o, kochająca kobieta nawet przywary, nawet występki ukochanego człowieka ubóstwi. Sam nie znajdzie dla swych bezeceństw takiego usprawiedliwienia, jakie mu ona wyszuka. Jest to wielkoduszne, ale nie oryginalne. Tylko brak oryginalności zgubił kobiety. I cóż, powtarzam, pokazujecie mi tam na stole? Czy to, co tam leży na stole, jest oryginalne? O — o!

Uważajcie: jej miłości byłem wtedy pewien. Przecież rzucała mi się wtedy na szyję. Kochała więc, a raczej — chciała kochać. Tak, właśnie tak było: chciała kochać, usiłowała kochać. A najważniejsze, że tu nawet żadnych bezeceństw nie było, dla których musiałaby szukać usprawiedliwienia. Powiadacie: zastawnik, i wszyscy tak powiadają. No i co z tego, że zastawnik? Widać muszą być jakieś przyczyny, skoro najszlachetniejszy z ludzi został zastawnikiem. Widzicie państwo, są takie myśli... to jest, widzicie, jeżeli pewne myśli wypowie się na głos, słowami, wypadnie to strasznie głupio. Sam się człowiek zawstydzi. A dlaczego? Dla niczego. Dlatego żeśmy wszyscy nic niewarci i nie znosimy prawdy, albo sam już nie wiem co. Powiedziałem przed chwilą „najszlachetniejszy z ludzi”. Śmieszne to, ale przecież tak właśnie było. Wszak to prawda, najszczerza prawda! Tak, miałem prawo pomyśleć wtedy o zabezpieczeniu się i założyć tę kasę. „Wyście mnie odtrącili, wy, ludzie, odpędziliście z pogardliwym milczeniem. Na mój namiętny poryw ku wam odpowiedzieliście mi krzywdą do końca mego życia. A więc miałem prawo odgrodzić się od was murem, uciuć te trzydzieści tysięcy rubli i dokonać żywota gdzieś na Krymie, na południowym wybrzeżu, wśród gór i winnic, we własnym majątku kupionym za te trzydzieści tysięcy, ale koniecznie z dala od was wszystkich, choć bez złości do was, z ideałem w duszy, z ukochaną kobietą przy boku, z potomstwem, jeśli Bóg zechce, i — pomagając okolicznym wieśniakom”. Ma się rozumieć, dobrze jest, że sam to teraz mówię do siebie, bo jakież by to było głupie, gdybym jej to wtedy naopowiadał! Stąd moje dumne milczenie, stąd siedzieliśmy milcząc. Bo cóż by z tego zrozumiała? Lat szesnaście, toć to pierwsza młodość — cóż mogła zrozumieć z moich usprawiedliwień, z moich cierpień? Z jednej strony — prostolinijność, nieznanostwo życia, niedojrzałość, tanie przekonania, kurza ślepotą „szlachetnych serc”, a z drugiej — kasa pożyczkowa i — basta (ale czy byłem łotrem w tej kasie, czyż nie widziała, jak

postępuję i czy biorę za dużo?). O, jakże straszna jest prawda na ziemi! To чудо, ta potulna, to niebo — toż ona była tyranem, nieznośnym tyranem mej duszy i dręczycielem! Przecież ja siebie oszkaluję, jeżeli tego nie powiem! Myślicie, że jej nie kochałem? Jest w tym, uważacie, ironia, złośliwa ironia losu i natury! Jesteśmy przeklęci, w ogóle życie ludzi jest przeklęte (a moje w szczególności!). Ja przecież teraz rozumiem, że się w czymś pomyliłem. Coś wypadło nie tak. Wszystko było jasne, mój plan był jasny jak słońce. „Surowy, dumny, niczyjej pociechy nie potrzebuje, cierpi w milczeniu". I tak właśnie było, nie kłamałem, nie kłamałem! „Sama potem zobaczy, że była w tym wielkoduszność, ale ona nie umiała jej dostrzec — a jak się kiedyś domyśli, oceni dziesięciokroć bardziej i sama uklęknie przede mną." Taki miałem plan. Ale o czymś zapomniałem czy coś przeoczyłem. Czegoś tu nie umiałem zrobić. Ale dość, dość! I przed kim się mam teraz usprawiedliwiać. Jak koniec, to koniec. Odwagi, człowieku, bądź dumny. Nie ty jesteś winien!...

Cóż, powiem prawdę, nie ulęknię się stanąć twarzą w twarz z prawdą: to ona jest winna, ona jest winna!...

V

Potulna buntuje się

Kłótnie zaczęły się wtedy, gdy nagle pozwoliła sobie wypłacać pieniądze podług własnego uznania, szacować rzeczy powyżej ich wartości, a nawet ze dwa razy raczyła dyskutować ze mną na ten temat. Nie ustąpiłem. No i właśnie wtedy napatoczyła się ta kapitanowa.

Przyszła ta stara kapitanowa z medalionem — upominek od nieboszczyka męża, wiadomo, pamiątka. Wypłaciłem trzydzieści rubli. Zaczęła nudzić jękliwie, prosić o przechowanie zastawu — naturalnie przechowamy. No i masz, nagle po pięciu dniach przychodzi z prośbą, żeby jej wymienić medalion na bransoletkę, która nie była warta nawet ośmiu rubli — rozumie się, odmówiłem. Musiała jednak coś wyczytać z oczu żony, bo przyszła podczas mojej nieobecności i ta jej wymieniła medalion.

Dowiedziawszy się o tym tego samego dnia, przemówiłem spokojnie, ale stanowczo i rozsądnie. Siedziała na łóżku, patrzyła w podłogę uderzając czubkiem prawego pantofla o dywanik (jej stały gest), na jej wargach błąkał się niedobry uśmiezek. Oświadczyłem nie unosząc się i nie podnosząc głosu, że pieniądze są moje, że mam prawo patrzeć na życie moimi oczami i że — kiedy ją wprowadzałem do swego domu, niczego przed nią nie ukryłem.

Raptem zerwała się, zatrzęsała się cała i — proszę sobie wyobrazić — zatupała nogami. To była bestia, to była furia, to była bestia w ataku furii. Oslupiałem ze zdumienia, czegoś takiego nigdy bym się nie spodziewał. Ale nie straciłem panowania nad sobą i z zimną krwią, nie podnosząc głosu, oświadczyłem bez ogródek, że odtąd pozbawiam ją udziału w swoich zajęciach. Roześmiała mi się w twarz i wyszła z domu.

Chodzi o to, że wychodzić z domu nie miała prawa. Beze mnie — nigdy, taka była umowa jeszcze przed ślubem. Pod wieczór wróciła; nie rzekłem ani słowa.

Nazajutrz znów wyszła z rana, na trzeci dzień również. Zamknąłem kasę i udałem się do ciotek. Od razu po ślubie zerwałem z nimi — ani my do nich, ani one do nas. Teraz okazało się, że nie ma jej u nich i nie było. Wysłuchały z ciekawością, lecz wyśmiały mnie w oczy: „Dobrze ci tak", powiadają. Ale ja byłem przygotowany na

ich kpiny. Młodsza z nich, starą pannę, z miejsca przekupiłem za sto rubli, dając dwadzieścia pięć z góry. Po dwóch dniach przyszła do mnie: — „Jest w to, powiada, zamieszany porucznik Jefimowicz, pański były kolega”. Byłem ogromnie zdumiony. Ten Jefimowicz zrobił mi w pułku najwięcej złego, a jakiś miesiąc temu ten bezwstydnik wstąpił do kasy pod pretekstem zastawu i zaczął, pamiętam, przekomarzać się z żoną. Od razu podszedłem do niego i powiedziałem, żeby się nie ważył przychodzić do mnie z uwagi na nasze dawniejsze stosunki, ale nawet mi przez myśl nie przeszło coś takiego, po prostu pomyślałem sobie, że jest bezczelny. A teraz ciotka nagle mnie informuje, że żona już się z nim umówiła na schadzkę i że wszystkim zajmuje się dawna znajoma ciotek, Julia Samsonowna, wdowa, i to po pułkowniku — do niej rzekomo chodzi teraz moja małżonka.

Skróć ten opis. W sumie kosztowała mnie ta sprawa około trzystu rubli, ale w ciągu dwu dni została załatwiona w taki sposób, że miałem stać w sąsiednim pokoju, za uchylonymi drzwiami, i być świadkiem pierwszego sam na sam mojej żony z Jefimowiczem. Ale w przeddzień rozegrała się między nami pewna krótką, lecz bardzo znamieną dla mnie scena.

Wróciła przed wieczorem, usiadła na łóżku, patrzy na mnie kpiąco i uderza nóżką o dywanik. Gdy patrzyłem na nią, raptem przeszła mnie myśl, że przez cały ostatni miesiąc, a ściślej przez dwa ostatnie tygodnie była jakaś nieswoja — prawdę mówiąc, jakby w ogóle odmieniona. Zamiast niej zjawiała się istota gwałtowna, napastliwa, nie powiem bezwstydną, ale niezrównoważoną i świadomie dążącą do awantur. Prowokująca awantury. Ale przeszkadzała jej w tym potulność. Kiedy taka zacznie szaleć, to choćby nawet przebrała miarę, jest widoczne, że sama się zmusza do tego, sama się podbechtuje, ale że nie jest zdolna przewyciężyć własnej wstydlivosti i niewinności. I właśnie dlatego takie osoby niekiedy tak bardzo przebierają miarę, że aż trudno uwierzyć świadectwu własnego rozumu. Natomiast istota przywykła do rozpusty złagodzi, postąpi obrzydliwiej, ale w ramach porządku i przystojności, stwarzając tym nawet pozory górowania nad nami.

— A czy to prawda, że wyrzucono cię z pułku za to, żeś stchórzył, żeś nie chciał się pojedynekować? — wyrwała się raptem z roziskrzonymi oczami.

— Tak, to prawda, na mocy uchwały oficerów zwrócono się do mnie, abym opuścił pułk, ale ja jeszcze przedtem podałem się do dymisji.

— Wyrzucono cię jako tchórza?

— Tak, uznali mnie za tchórza. Ale ja nie zgodziłem się na pojedynek nie z tchórzostwa, lecz dlatego, że nie chciałem się podporządkować ich idiotycznemu wyrokowi i rzucać wyzwania, skoro nie czułem się obrażony. Musisz wiedzieć — nie zdołałem się powstrzymać — że czynne przeciwstawienie się takiej tyranii i poniesienie wszystkich skutków było dowodem znacznie większej odwagi niż jakikolwiek pojedynek.

Nie wytrzymałem, tym zdaniem próbowałem się jakby usprawiedliwić, a jej w to i graj — chciała mego dalszego poniżenia. Roześmiała się zjadliwie.

— A czy to prawda, że potem przez trzy lata włóczyłeś się po Petersburgu i wyciągałeś rękę po grosze i nocowałeś pod bilardami?

— Nawet na Siennej nieraz nocowałem, w domu Wiaziemskiego. Tak, to prawda; po wyjściu z pułku moje życie było pełne hańby i upadku, ale to nie był upadek moralny, bo sam nienawidziłem swoich postępów już wtedy. Był to tylko upadek

woli i umysłu, wywołany jedynie moją rozpaczliwą sytuacją. Ale to minęło...

— O, teraz jesteś persona — finansista!

Aha, aluzja do kasy pożyczkowej. Ale zdążyłem już zapanować nad sobą. Widziałem, że ona łaknie poniżających dla mnie wyjaśnień, i nie złożyłem ich. Akurat zadzwonił do drzwi klient i poszedłem do niego do salonu. Później, po godzinie, kiedy nagle się ubrała do wyjścia, stanęła przede mną i powiedziała:

— A jednak nie wspomniałeś mi o tym przed ślubem.

Nie odpowiedziałem i wyszła.

Tak więc nazajutrz stałem w tamtym pokoju za drzwiami i słuchałem, jak się rozstrzyga mój los, a w kieszeni miałem rewolwer. Była odświętnie ubrana i siedziała przy stole, a Jefimowicz zgrywał się przed nią. I cóż: wypadło tak (mówię to ku swojej chwale), wypadło co do joty tak, jak przeczuwałem i przewidywałem, nie zdając sobie sprawy, że przeczuwam to i przewidyuję. Nie wiem, czy się dość jasno wyrażam.

Wypadło to tak. Słuchałem przez całą godzinę i przez całą godzinę byłem świadkiem pojedynku najszlachetniejszej, najwznieślej z kobiet ze światową, rozpustną, tępą kreaturą o duszy gadziny. I skąd — myślałem zdumiony — skąd ta naiwna, potulna, małomówna istota wie to wszystko? Najdowcipniejszy autor komedii z życia wyższych sfer towarzyskich nie potrafiłby stworzyć takiej sceny kpin, szyderstwa, niewinnego śmiechu i świętego oburzenia, jakie cnota żywi dla występku. Ach, jak się iskrzyły jej słowa, wszystkie powiedzonka, co za dowcip w błyskawicznych ripostach, jaka trafność w potępieniu! A ile przy tym niemal dziewczęcej naiwności. Śmiała mu się w twarz z jego wyznań miłosnych, z jego gestów i propozycji. Przyjechawszy z zamiarem obcesowego przystąpienia do rzeczy i nie przewidując oporu, nagle oklapł. Początkowo mogłem przypuszczać, że z jej strony jest to po prostu kokieteria — „kokieteria wprawdzie rozpustnej, lecz zarazem dowcipnej istoty, która się droży”. Ale nie, prawda zajaśniała jak słońce i niepodobna było wątpić. Tylko z nienawiści do mnie, gwałtownej, choć sztucznie rozniecanej w sobie, ta niedoświadczona istota mogła się zdobyć na taki krok, odważyć na schadzkę, ale gdy przyszło do rzeczy — od razu oczy się jej otworzyły. Po prostu miało się stworzenie, aby mnie w jakikolwiek sposób znieważyć, ale zdecydowawszy się na taką ohydę, nie zniosło błota. Czyż ją, niewinną, bez skazy, z ideałem w duszy, mógł uwieść Jefimowicz lub którakolwiek z tych wielkoświatowych kreatur? Ależ skąd, rozśmieszył ją tylko. Cała prawda wezbrała w jej duszy, a oburzenie wywołało sarkazm w sercu. Powtarzam, ten błazen pod koniec zupełnie osowiał i siedział zasępiony, ledwo odpowiadając, tak że byłem nawet w strachu, by nie poważił się jej obrazić z podłej zemsty. Jeszcze raz powtarzam: ku swojej chwale scenie tej przysłuchiwałem się niemal bez zdumienia, jakbym się spotkał z czymś znanym, jakbym przyszedł w tym celu, aby to spotkać. Szedłem niczemu nie wierząc, żadnemu oskarżeniu, mimo że wzdąłem rewolwer do kieszeni — taka jest prawda! I czy mogłem ją sobie wyobrazić inaczej? Za to ją przecież kochałem, za to wielbiłem, za to się z nią ożeniłem. O, oczywiście aż nadto się przekonałem, jak bardzo mnie teraz nienawidzi, ale przekonałem się także o tym, że jest bez winy. Przerwałem scenę raptem otwierając drzwi. Jefimowicz zerwał się, wziąłem ją za rękę i skłoniłem do wyjścia ze mną. Jefimowicz od razu oprzytomniał i wybuchnął śmiechem.

— O, ja szanuję święte prawa małżeńskie, może pan zabrać małżonkę, proszę bardzo! I wie pan co — zawołał w ślad za mną — chociaż porządny człowiek nie

powinien się z panem pojedynkować, ale z szacunku dla pani jestem do dyspozycji... Oczywiście, jeżeli pan się odważy...

— Słyszysz? — zatrzymałem ją chwilę na progu.

Potem przez całą drogę do domu ani słowa. Prowadziłem ją za rękę, nie opierała się, przeciwnie, była potwornie wstrząśnięta, ale tylko w drodze. Po przyjeździe do domu usiadła na krześle i utkwiała we mnie wzrok. Była strasznie blada; wprawdzie wargi jej najpierw skrzywiły się ironicznie, ale teraz patrzyła już na mnie z uroczystym, surowym wyzwaniem i była chyba naprawdę przekonana, że ją zastrzele. Ale wyjąłem bez słowa rewolwer z kieszeni i położyłem na stole. Patrzyła na mnie i na rewolwer. (Proszę zwrócić uwagę: znała już ten rewolwer. Sprawilem go sobie i trzymałem nabity od chwili uruchomienia kasy. Zakładając kasę postanowiłem nie trzymać ani ogromnych psów, ani silnego lokaja, jak na przykład czyni to Mozer. U mnie klientom otwiera kucharka. Ale w naszym zawodzie konieczne jest zapewnienie sobie na wszelki wypadek samoobrony, więc trzymałem w domu zawsze nabity rewolwer. Początkowo, po zamieszkaniu ze mną, bardzo się interesowała tym rewolwerem, wypytywała o jego konstrukcję i system, co też jej wytłumaczyłem, a nawet namówiłem, żeby wystrzeliła raz kiedyś do celu. Trzeba to wszystko wziąć pod uwagę). Nie zwracając uwagi na jej wystraszoną minę, położyłem się na pół rozebrany na łóżku. Byłem bardzo wyczerpany, dochodziła jedenasta. Siedziała dalej na tym samym miejscu bez ruchu jeszcze około godziny, potem zgasła świecę i położyła się przy ścianie, na kanapie. Po raz pierwszy nie położyła się ze mną — to też należy wziąć pod uwagę...

VI

Straszne wspomnienie

A teraz to straszne wspomnienie...

Obudziłem się rano chyba przed ósmą, w pokoju było już prawie jasno. Obudziłem się od razu całkiem przytomny i raptownie otworzyłem oczy. Stała przy stole trzymając w ręku rewolwer. Nie widziała, że się zbudziłem i patrzę. Raptem widzę, że zaczyna zbliżać się do mnie z rewolwerem w ręku. Szybko zamknąłem oczy i udałem, że mocno śpię.

Doszła do łóżka i stanęła nade mną. Słyszałem wszystko; chociaż zapanowała grobowa cisza, słyszałem jednak tę ciszę. Wtem pod wpływem nagłego impulsu otworzyłem oczy wbrew woli. Patrzyła na mnie, prosto w oczy, a rewolwer był tuż przy mojej skroni. Nasze spojrzenia spotkały się. Ale patrzyliśmy na siebie zaledwie przez mgnienie. Znowu mocno zamknąłem oczy i w tym samym momencie postanowiłem z całej mocy, że się więcej nie poruszę i nie otworzę oczu, cokolwiek się stanie.

Bo przecież zdarza się, że nawet mocno śpiący człowiek nagle otworzy oczy, uniesie głowę i na moment obrzuci pokój spojrzeniem, by po chwili nieprzytomnie opuścić głowę na poduszkę niczego nie pamiętając. Gdy spotkawszy się z jej spojrzeniem i poczuwszy rewolwer na skroni raptem znowu zamknąłem oczy i leżałem bez ruchu, jak pogrążony we śnie, stanowczo mogła przypuszczać, że śpię naprawdę i że nic nie widziałem, tym bardziej że właściwie było niepodobieństwem zamknąć oczy w takiej chwili, ujrawszy to, co ujrzałem.

Tak, niepodobieństwem. Ale mimo wszystko mogła odgadnąć prawdę — i właśnie

to mi przemknęło przez myśl w tym momencie. O, jakaż wichura myśli i wrażeń zakłębiła się błyskawicznie w mojej głowie — niech żyje elektryczność myśli ludzkiej! W takim razie (przemknęło mi przez myśl), jeżeli odgadła prawdę i wie, że nie śpię — już ją zmiażdżyłem gotowością przyjęcia śmierci i teraz może się zawahać. Poprzednia decyzja może się rozbić o nowe, niesłuchanie mocne wrażenie. Podobno ludzie stojący na szczycie dążą jakby sami w dół, w przepaść. Zapewne wiele samobójstw i zabójstw dokonało się tylko dlatego, że rewolwer znalazł się już w rękach. W tym też jest otchłań, w tym też jest pochyłość 45°, na której się nie sposób utrzymać, i coś nas korci przemożnie, by nacisnąć cyngiel. Ale świadomość, że wszystko widziałem, wiem wszystko i w milczeniu oczekuję śmierci z jej ręki — mogła ją wstrzymać na pochyłości.

Cisza trwała i nagle poczułem na skroni, u nasady włosów, zimne dotknięcie stali. Zapytacie: czy naprawdę wierzyłem, że ocaleję? Odpowiem wam jak przed Bogiem: nie miałem żadnej nadziei, najwyżej jedną szansę na sto. Czemuż więc się godziłem na śmierć? A ja spytam: na co mi było życie po tym rewolwerze przystawionym mi do skroni przez uwielbianą istotę? Prócz tego wiedziałem całą mocą mojego jestestwa, że między nami w tej właśnie chwili toczy się walka, straszliwy pojedynek na śmierć i życie, pojedynek tego właśnie wczorajszego tchórze, wypędzonego za tchórzostwo przez kolegów. Wiedziałem to i ona też to wiedziała, oczywiście jeżeli się domyśliła, że nie śpię.

Może zresztą tak wcale nie było, może nie myślałem wtedy tego wszystkiego, ale jednak musiało być coś w tym rodzaju, bodaj bez tych myśli, bo przecież o niczym innym nie myślałem potem, w każdej chwili mojego życia.

Ale zadacie mi nowe pytanie: czemuż jej nie uchroniłem przed zbrodnią? O, ja sobie potem setki razy zadawałem to pytanie — za każdym razem, kiedy z mrowiem w plecach przypominałem sobie ten moment. Ale dusza moja była wtedy w ponurej rozterce: ginąłem, sam ginąłem, więc kogóż mogłem uratować? A skąd wiecie, czy chciałem jeszcze wtedy kogoś uratować? Skąd wiadomo, co mogłem wtedy odczuwać?

Świadomość jednak kłębiła się; chwile mijały, panowała grobowa cisza; ona wciąż stała nade mną — i nagle drgnąłem w nadziei! Czym prędzej otworzyłem oczy: już jej nie było w pokoju. Wstałem z łóżka: zwyciężyłem — a ona była na wieki zwyciężona!

Poszedłem na śniadanie. Samowar podawano u nas zawsze do pierwszego pokoju, a ona zawsze nalewała herbatę. Siadłem przy stole w milczeniu i wziąłem od niej szklankę herbaty. Może po pięciu minutach spojrzałem na nią. Była strasznie blada, jeszcze bledsza niż wczoraj, patrzyła na mnie. Wtem — spostrzegłszy, że na nią patrzę, blado się uśmiechnęła bladymi wargami, z nieśmiałym pytaniem w oczach. „A więc wciąż jeszcze się waha i zadaje sobie pytanie: czy on wie, czy nie, widział czy nie widział?” Obojętnie odwróciłem wzrok. Po śniadaniu zamknąłem kasę, poszedłem na rynek i kupiłem żelazne łóżko i parawan. Wróciwszy do domu kazałem wstawić łóżko do salonu i odgrodzić je parawanem. Było to łóżko dla niej, ale nie powiedziałem jej ani słowa. I bez słów zrozumiała, przez to łóżko, że „wszystko widziałem i wiem wszystko” i że nie ma już żadnych wątpliwości. Na noc zostawiłem rewolwer na stole, jak zawsze. Wieczorem w milczeniu położyła się do swego nowego łóżka: małżeństwo zostało rozwiązane, ona „zwyciężona, lecz nie rozgrzeszona”. W nocy zaczęła majaczyć, a rano dostała wysokiej gorączki. Przeleżała sześć tygodni.

ROZDZIAŁ DRUGI

I

Sen dumy

Łukieria oświadczyła przed chwilą, że nie zostanie u mnie i jak panią pochowają — odejdzie. Modliłem się klęcząc pięć minut, chciałem się modlić godzinę, ale wciąż myślę, bez przerwy, i myśli takie bolesne, i głowa obolała — jakże się tu modlić, nie przystoi, doprawdy! Dziwne też, że spać mi się nie chce: przecież zbyt wielkie nieszczęście po pierwszych mocnych wybuchach zawsze wywołuje senność. Podobno skazani na śmierć zawsze niezwykle twardo śpią ostatniej nocy. To i dobrze, to naturalne, inaczej by nie wytrzymali... Położyłem się na kanapie, ale nie zasnąłem...

...Przez sześć tygodni choroby doglądaliśmy jej dniem i nocą — ja, Łukieria i dyplomowana pielęgniarka, ze szpitala, którą zaangażowałem. Pieniądzy nie szczędziłem, nawet z chęcią wydawałem na nią. Wezwałem doktora Schroedera i płaciłem mu po dziesięć rubli za wizytę. Gdy odzyskała przytomność, przestałem tak ciągle sterczeć jej przed oczami. A zresztą po co o tym mówię? Kiedy już całkiem wstała, cichutko, w milczeniu usiadła w swoim pokoju przy osobnym stole, który wtedy też dla niej kupiłem... Tak, to prawda, milczeliśmy absolutnie, to znaczy, nieco później zaczęliśmy nawet rozmawiać, lecz tylko o sprawach powszednich. Ja oczywiście umyślnie się zbytnio nie rozwodziłem, ale doskonale widziałem, że i ona raczej woli się nie wywnętrzać. Wydawało mi się to zupełnie naturalne z jej strony. „Jest nazbyt wstrząśnięta i nazbyt pokonana — myślałem — i niewątpliwie trzeba jej pozwolić zapomnieć i przyzwyczać się”. Tak więc milczeliśmy oboje, ale ja się wciąż przygotowywałem po cichu, myśląc o przyszłości. Myślałem, że ona też, i zgadywałem namiętnie, o czym myśli właśnie w tej chwili?

Dodam jeszcze: o, oczywiście nikt nie wie, com przecierpiał biadając nad nią w czasie jej choroby. Lecz biadałem wewnątrz, dławiłem jęki w piersi wobec wszystkich, nawet wobec Łukierii. Nie mogłem sobie wyobrazić, nawet nie przypuszczałem, że może umrzeć nie dowiedziawszy się o wszystkim. A kiedy niebezpieczeństwo minęło i zaczęła powracać do zdrowia, wtedy prędko, pamiętam, i zupełnie się uspokoiłem. Nie dość na tym: postanowiłem odłożyć naszą przyszłość na możliwie najdłuższy czas, a na razie zostawić wszystko w obecnej postaci. Tak, stało się wtedy ze mną coś dziwnego, osobliwego, nie umiem tego inaczej określić: zatriumfowałem, i sama ta świadomość była dla mnie zupełnie wystarczająca. I tak upłynęła zima. O, byłem zadowolony jak nigdy jeszcze, i to przez całą zimę.

Widzicie, w moim życiu była pewna straszna historia, która do tego czasu, to znaczy aż do chwili katastrofy z żoną, dręczyła mnie co dzień, co godzina, mianowicie — utrata reputacji i opuszczenie pułku. Krótko mówiąc: była tyrańska niesprawiedliwość wobec mnie. Co prawda koledzy nie lubili mnie z powodu mego ciężkiego charakteru, charakteru może nawet śmiesznego, chociaż zdarza się często, że to, co jest dla nas wzniosłe, najbardziej osobiste i święte, jednocześnie śmieszy z jakiegoś powodu ogół naszych kolegów. O, mnie nigdy nie lubiano, nawet w szkole. Mnie zawsze i wszędzie nie lubiano. Nawet Łukieria nie może mnie lubić. Zdarzenie zaś w pułku było wprawdzie wynikiem niechęci do mnie, ale bez wątpienia miało

przypadkowy charakter. Mówię to dlatego, że nie ma nic boleśniejszego i dotkliwszego, niż zginąć w wypadku, który mógłby się wcale nie zdarzyć — wskutek fatalnego zbiegu okoliczności, które mogły przemknąć obok jak obłoki. Jakie to poniżające dla obdarzonej rozumem istoty. A zdarzenie było takie:

Podczas antraktu w teatrze poszedłem do bufetu. Nagle wszedł huzar A- -w i w obecności wszystkich zebranych oficerów i cywilów zaczął głośno opowiadać swoim kolegom, huzarom, że przed chwilą kapitan naszego pułku Biezumcew urządził w kularach awanturę i że „jest chyba pijany”. Tematu nie podjęto, zresztą była to pomyłka, bo kapitan Biezumcew nie był pijany, a awantury też właściwie nie było. Huzarzy zaczęli mówić o czymś innym i na tym się wszystko skończyło, ale nazajutrz historia dotarła do naszego pułku i od razu zaczęto u nas mówić, że w bufecie z naszego pułku byłem tylko ja jeden i że kiedy huzar A- -w odezwał się arogancko o kapitanie Biezumcewie, powinienem był podejść do A- -wa i skarcić go. Ale z jakiej racji miałem to zrobić? Jeżeli on ma na pieńku z Biezumcewem, jest to ich prywatna sprawa, więc po cóż miałem się wtrącać? Oficerowie jednak skłaniali się do poglądu, że sprawa nie jest osobista, lecz dotyczy również pułku, a ponieważ z oficerów naszego pułku byłem przy tym tylko ja, dowiodłem wszystkim obecnym w bufecie, wojskowym i cywilom, że w naszym pułku trafiają się oficerowie niezbyt drażliwi na punkcie własnego i pułkowego honoru. Nie mogłem się zgodzić z tym określeniem. Dano mi do zrozumienia, że mogę jeszcze wszystko naprawić, jeżeli choćby teraz, mimo że to nieco spóźnione, zechcę zażądać od A- -wa formalnych wyjaśnień. Nie zechciałem, a ponieważ byłem zirytowany, odmówiłem wyniośle, po czym natychmiast podałem się do dymisji. I to już cała historia. Wszedłem z niej z godnością, ale złamany duchowo, z osłabioną wolą i umysłem.

Akurat się tak zdarzyło, że mąż mojej siostry w Moskwie przehulał nasz niewielki majątek wraz z moim udziałem — udziałem nieznacznym, ale zostałem na bruku bez grosza przy duszy. Mogłem pójść na prywatną posadę, ale nie chciałem: jak to — po tak świetnym mundurze miałem zgodzić się na jakąś tam kolej? A więc — jak wstyd, to wstyd, jak hańba, to hańba, upadek, to upadek, im gorzej, tym lepiej — to właśnie wybrałem. Trzy lata ponurych wrażeń, a nawet dom Wiaziemskiego.

Przed półtora rokiem zmarła w Moskwie moja matka chrzestna, bogata staruszka, niespodziewanie zostawiając w spadku między innymi i mnie trzy tysiące. Namyśliłem się i od razu zadecydowałem o swoim losie. Zdecydowałem się na kasę pożyczkową, nie zważając na opinię ludzką: pieniądze, następnie własny kąt i — nowe życie z dala od dawnych wspomnień, taki był mój plan. Wszelako ponura przeszłość i na zawsze splamiony honor dręczyły mnie stale, bezustannie. Potem ożeniłem się. Przypadkiem czy nie — sam nie wiem. Ale wprowadzając ją do swego domu myślałem, że wprowadzam przyjaciela, a mnie był bardzo potrzebny przyjaciel. Lecz rozumiałem, że przyjaciela trzeba oswoić, a nawet pokonać. Bo czy mogłem tak od razu wytłumaczyć cokolwiek tej szesnastolatce, i to uprzedzonej do mnie? Jak mógłbym na przykład bez przypadkowej pomocy owej strasznej katastrofy z rewolwerem przekonać ją, że nie jestem tchórzem i że zarzut tchórzostwa w pułku był niesłuszny? Ale katastrofa przyszła w samą porę. Wytrzymawszy rewolwer wziąłem odwet za całą swoją ponurą przeszłość. I chociaż nikt się o tym nie dowiedział, dowiedziała się ona, a to było dla mnie wszystkim, bo właśnie ona była dla mnie wszystkim, całą moją nadzieją na przyszłość, piastowaną w marzeniach! Była

jedynym człowiekiem, którego urabiałem sobie, inni mi nie byli potrzebni — i oto o wszystkim się dowiedziała; dowiedziała się w każdym razie, że niesłusznie postąpiła przyłączając się tak pochopnie do moich wrogów. Ta myśl upajała mnie. W jej oczach nie mogłem już być nędznikiem, najwyżej dziwnym człowiekiem, ale ta myśl teraz, po wszystkim, co się stało, nie była najgorsza: dziwactwo nie jest przywarą, przeciwnie, czasami pociąga naturę kobiety. Słowem, umyślnie odsunąłem rozwiązanie: to, co się stało, było tymczasem aż nadto wystarczające dla mego spokoju i zawierało aż nazbyt wiele obrazów i materiałów do moich marzeń. Właśnie to jest fatalne, że taki ze mnie marzyciel: dla mnie materiału starczyło, a o niej myślałem, że poczeka.

Tak upłynęła cała zima, w jakimś czekaniu na coś. Lubiłem przyglądać się jej ukradkiem, kiedy siedziała za swoim stolikiem. Zajmowała się szyciem, bielizną, a wieczorami niekiedy czytała książki, które brała z mojej szafy. Dobór tych książek też powinien był świadczyć na moją korzyść. Prawie nie wychodziła z domu. Przed wieczorem, po obiedzie zabierałem ją zwykle na spacer i przechadzaliśmy się, nie w całkowitym milczeniu, jak przedtem. Próbowaliśmy udawać, że nie milczymy, że zgodnie rozmawiamy, ale jak już wspominałem, oboje staraliśmy się zbytnio nie rozwodzić. Ja to robiłem umyślnie, a jej, myślałem, trzeba koniecznie „zostawić trochę czasu”. Dziwne oczywiście, że ani razu, niemal do końca zimy, nie przyszło mi do głowy, że sam lubię patrzeć na nią ukradkiem, lecz nie zauważyłem ani jednego jej spojrzenia na mnie przez całą zimę! Myślałem, że z jej strony jest to nieśmiałość. Zwłaszcza że w ogóle miała tak zalęknioną, nieśmiałą minę, tak bezsilnie wyglądała po chorobie. Nie, lepiej poczekaj, bracie, a — „a nuż ona sama nagle podejdzie do ciebie...”

Ta myśl zachwycała mnie nieodparcie. Jedno dodam: niekiedy jakby umyślnie rozniecałem sam siebie i udawało mi się wprawić swego ducha i umysł w taki stan, że czułem do niej jakby urazę. I tak było kilkakrotnie i trwało jakiś czas. Ale nienawiść nigdy nie mogła dojrzeć i utrwalić się w mojej duszy. Sam zresztą czułem, że jest to poniekąd tylko gra. A i wtedy, choć rozwiązałem małżeństwo kupując łóżko i parawan, nigdy jednak, przenigdy nie zdołałem w niej widzieć zbrodniarki. Nie dlatego, że lekceważyłem jej przestępstwo, lecz dlatego, że od razu miałem zamiar jej przebaczyć, od pierwszego dnia, nawet zanim kupiłem łóżko. Słowem było to z mojej strony dziwactwo, gdyż mam surowe zasady moralne. Rzecz w tym, że była w moich oczach tak pokonana, tak poniżona, tak unicestwiona, że chwilami litowałem się nad nią do bólu, choć przy tym wszystkim stanowczo miłą mi była niekiedy myśl o jej poniżeniu. Miłą myśl o naszej nierówności...

Tej zimy zdarzyło mi się umyślnie spełnić kilka dobrych uczynków. Darowałem dwa długi, a pewnej ubogiej kobiecie dałem pieniądze w ogóle bez zastawu. Żonie o tym nie powiedziałem, zresztą wcale nie po to to zrobiłem, żeby się dowiedziała, ale kobieta sama przyszła podziękować nieomal na klęczkach. Tak że wyszło to na jaw i odniosłem wrażenie, że sprawiło jej przyjemność.

Lecz zbliżała się wiosna, była już połowa kwietnia, wyjęto podwójne okna i słońce poczęło oświetlać jaskrawymi snopami nasze milczące pokoje. Ale łuska tkwiła i zaciemniała mój umysł. Straszna, fatalna łuska! Jakże się stało, że nagle spadła z oczu, że nagle przejrzałem i wszystko zrozumiałem? Czy był to przypadek, czy nadszedł wreszcie właściwy dzień, czy promień słońca zapalił mój umysł, domysł w moim otępiętym mózgu? Nie, to nie była myśl ani domysł, lecz nagle drgnęła pewna żyłka, od dawna

zamarła — zaczęła pulsować, ożyła i oświetliła całą moją otępiałą duszę i moją pychę szatańską. Nagle jakby zerwałem się z miejsca. Bo to stało się nagle, niespodziewanie. Stało się przed wieczorem, około piątej po południu...

II

Łuska spadła z oczu

Ale przedtem dwa słowa. Miesiąc wcześniej zauważyłem u niej jakieś zamyślenie — już nie tylko milkliwość, lecz ponadto zamyślenie. To również zauważyłem nagle. Szyła wtedy z głową pochyloną nad robotą i nie widziała, że patrzę na nią. I raptem uderzyło mnie, że zrobiła się taka szczuplutka, przezroczysta, twarzyczka pobladła, wargi zbieleły — wszystko to wraz z zadumą niezwykle mnie zafrapowało. Już przedtem słyszałem suche pokasywanie, zwłaszcza nocami. Natychmiast wstałem i nic jej nie mówiąc udałem się do Schroedera, żeby poprosić go do nas.

Schroeder przybył nazajutrz. Była bardzo zdziwiona i patrzyła to na Schroedera, to na mnie.

— Ależ nic mi nie jest — powiedziała z bladym uśmiechem.

Schroeder nie zbadał jej dokładnie (ci lekarze bywają czasami lekceważąco niedbali), powiedział mi tylko w drugim pokoju, że są to pozostałości po chorobie i że na wiosnę warto by pojechać gdzieś nad morze, a jeżeli się nie da, to choćby przeprowadzić się na lotnisko. Słowem, nic nie powiedział prócz tego, że jest osłabiona czy coś w tym rodzaju. Po jego wyjściu powtórzyła, patrząc na mnie z ogromną powagą:

— Nic mi nie jest, jestem zupełnie zdrowa.

Lecz po tych słowach raptem się zarumieniła, widocznie ze wstydu. O, teraz rozumiem; wstydziła się, że jestem jeszcze jej mężem, że wciąż jeszcze troszczyć się o nią jak prawdziwy mąż. Ale wtedy nie zrozumiałem i rumieniec przypisałem pokorze (łuska!).

Otóż miesiąc później, około piątej po południu, w kwietniu, w jasny słoneczny dzień siedziałem przy kasie i rachowałem. Nagle słyszę, że ona w naszym pokoju, przy swoim stole, przy pracy, cichutko... zaśpiewała. Nowość ta zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie. Dotychczas prawie nigdy nie słyszałem jej śpiewającej, chyba że na samym początku, kiedy ją wprowadziłem do swego domu i kiedy jeszcze mogliśmy się zabawiać strzelaniem z rewolweru do celu. Wtedy głos miała jeszcze dość silny, dźwięczny, wprawdzie niewyroblony, ale nadzwyczaj przyjemny i zdrowy. Teraz natomiast piosenka była taka wątła — nie, nie mówię żalosna (był to jakiś romans), lecz jakby w głosie było coś pękniętego, jakby głosik; nie mógł podolać, jakby sama piosenka była chora. Nuciała sobie półgłosem, wtem głos wzniósł się i urwał — taki biedny głosik, tak żałośnie się urwał; odchrząknęła i znów cichuteńko zaśpiewała...

Śmieszne się wyda zapewne moje wzruszenie, ale nikt nigdy nie zrozumie, czym się tak przejąłem! Nie, nie czułem dla niej litości, było to jeszcze coś całkiem innego. Z początku przynajmniej, w pierwszej chwili, pojawiło się raptem zdziwienie, ogromne zdumienie, ogromne i dziwne, chorobliwe i niemal mściwe: „Śpiewa — przy mnie! Czyżby zapomniała o moim istnieniu?”

Wstrząśnięty do głębi, trwałem jakiś czas w miejscu, potem nagle wstałem, wziąłem kapelusz i wyszedłem, niezupełnie przytomny. W każdym razie nie

wiedziałem, gdzie idę i po co; Łukieria podała mi palto.

— Ona śpiewa? — zapytałem mimo woli. Nie zrozumiała, patrzyła na mnie pytająco. Zresztą istotnie trudno mnie było zrozumieć. — Po raz pierwszy śpiewa?

— Nie, jak pana nie ma, pani śpiewa czasem — odrzekła Łukieria.

Pamiętam wszystko. Zszedłem po schodach, wyszedłem na ulicę i poszedłem, gdzie oczy poniosły. Doszedłem do rogu i zacząłem patrzeć przed siebie. Mijano mnie, potrącano — nic nie czułem. Zawołałem dorożkę i kazałem się zawieźć do mostu Policyjnego, sam nie wiem po co. Lecz po chwili rozmyśliłem się i dałem dorożkarzowi dwadzieścia kopiejek:

— Za to, żem cię fatygował — powiedziałem zaśmiaawszy się bezmyślnie, ale w sercu nagle zjawilo się jakieś uniesienie.

Skierowałem się w stronę domu, przyspieszając kroku. Pęknięta, żalonna, urwana nutka nagle znów zadźwięczała w mojej duszy. Brakło mi tchu. Spadała, spadała z oczu łuska! Skoro zaśpiewała przy mnie, to znaczy, że o mnie zapomniała — było to jasne i straszne. Serce to czuło. Lecz uniesienie promieniało w mej duszy przemagając strach.

O, ironio losu! Przecież nic innego nie było i nie mogło być w mojej duszy przez całą zimę prócz tego właśnie uniesienia, ale gdzie ja sam byłem przez całą zimę? Czym własną duszę utracił? Wbiegłem po schodach w wielkim pośpiechu, nie wiem, czy wszedłem spokojnie. Pamiętam tylko, że cała podłoga jakby falowała, jakbym płynął po rzece. Wszedłem do pokoju, ona siedziała na tym samym miejscu, szyła z pochyloną głową, ale już nie śpiewała. Przelotnie, bez zaciekawienia spojrzała na mnie, lecz nie było to nawet spojrzenie, ot, taki sobie ruch, zwyczajny i obojętny, gdy wchodzi ktoś do pokoju.

Podszedłem od razu i usiadłem na krześle tuż obok niej, jak opętany. Zerknęła na mnie, jakby się przestraszywszy: wziąłem ją za rękę i nie pamiętam, co powiedziałem, a raczej, co chciałem powiedzieć, gdyż nawet nie mogłem mówić normalnie. Głos mi się załamywał i odmawiał posłuszeństwa. Nie wiedziałem zresztą, co powiedzieć, i nie mogłem tchu złapać.

— Porozmawiajmy... wiesz... powiedz coś! — wybąkałem wreszcie głupawo — o, czy mogłem się zdobyć w tej chwili na coś mądrego?

Znów drgnęła i odsunęła się bardzo przestraszona wyrazem mojej twarzy, lecz nagle surowe zdziwienie pojawiło się w jej oczach. Tak, zdziwienie, i to surowe. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Ta surowość, to surowe zdziwienie po prostu mnie zdruzgotały. „To ci jeszcze potrzeba miłości? Miłości?” — jakby zabrzmiało nagle w tym zdziwieniu, chociaż milczała. Ale ja wszystko wyczytałem, wszystko. Wstrząśnięty runąłem do jej stóp. Tak, padłem do jej stóp. Zerwała się natychmiast, ale ja z nadzwyczajną siłą przytrzymałem ją za obie ręce.

O, dobrze rozumiałem swoją niedolę. Ale uwierzcie mi, uniesienie wzbierało w mym sercu tak nieodparcie, że myślałem, że umrę. Całowałem jej stopy w upojeniu i szczęściu. Tak, w szczęściu, bezgranicznym i nieskończonym — choć rozumiałem swą rozpaczliwą, beznadziejną sytuację! Płakałem, mówiłem coś, ale mówić nie mogłem. Przestach i zdziwienie ustąpiły w niej nagle miejsca jakiemuś zatroskaniu, jakiemuś niesamowitemu pytaniu, i dziwnie patrzyła na mnie, wręcz ze zgrozą, chciała coś jak najprędzej zrozumieć i uśmiechnęła się. Była ogromnie zawstydzona, że ją całuję po nogach, odsuwała je, ale ja całowałem miejsce na podłodze, gdzie stały.

Spostrzegła to i nagle zaczęła się śmiać ze wstydu (wiecie zapewne, że można się śmiać ze wstydu). Zbliżał się atak hysterii, widziałem to, ręce jej dygotały — ale nie myślałem o tym i wciąż bełkotałem, że ją kocham, że nie wstanę: „Pozwól mi całować twoją suknię... całe życie modlić się do ciebie”... Nie wiem, nie pamiętam — raptem zaszlochała, zatrzęsła się, nastąpił straszny atak hysterii. Przestraszyłem ją.

Zaniosłem ją na łóżko. Kiedy atak minął, usiadła na łóżku, z ogromnie przygnębioną miną chwyciła mnie za ręce i prosiła, żebym się uspokoił. „Daj spokój, nie dręcz się tak!” — i znów zaczynała płakać. Przez cały wieczór nie odstępowałem jej ani na krok. Mówiłem wciąż, że ją zawiozę do Boulogne sur Mer, że będzie się kąpać w morzy, wnet, za dwa tygodnie, że ma taki nadwątłony głosik, słyszałem dopiero co; że zamknę kasę, sprzedam Dobronrawowi, że wszystko zaczniemy od nowa, ale najważniejsze to Boulogne, Boulogne! Słuchała — i ciągle się bała. Coraz bardziej się bała. Ale nie to było dla mnie najważniejsze, lecz to, że coraz bardziej, coraz gwałtowniej pragnąłem znów leżeć u jej stóp i znów całować, całować ziemię, na której stoją jej stopy, modlić się do niej i — „więcej nic, nic nie chcę od ciebie — powtarzałem raz po raz — nic mi nie odpowiadaj, nie dostrzegaj mnie wcale, pozwól tylko patrzeć z kąta na siebie, zrób ze mnie swoją rzecz, psiaka”... A ona płakała.

— A ja myślałam, że zostawisz mnie tak — wyrwało się jej raptem, mimowolnie — tak mimowolnie, że może sama nie zauważyła, a przecież — o, to były jej główne, najfatalniejsze słowa i najbardziej zrozumiałe dla mnie tego wieczoru, i jakby dźgnęły mnie nożem w samo serce! Wszystko mi wyjaśniły, wszystko, ale póki była obok, przed moimi oczami, łudziłem się nieodparcie i byłem szalenie szczęśliwy. O, jakże ją strasznie zmęczyłem tego wieczoru, i sam to czułem, ale bez przerwy myślałem, że wszystko od razu naprawię. Wreszcie przed nocą zupełnie opadła z sił; namówiłem ją, żeby spała, i od razu twardo zasnęła. Obawiałem się maligny i rzeczywiście była, ale nieznaczna. Wstawałem w nocy niemal co chwila, cichutko w papuciach zbliżałem się, żeby na nią popatrzeć. Załamywałem ręce nad nią, patrząc na to chore stworzenie na tym nędznym żelaznym łóżeczku, które kupiłem jej wtedy za trzy ruble. Klękałem, ale nie ważyłem się całować nóg śpiącej (bez jej wiedzy!) Klękałem, żeby się pomodlić, ale zaraz się zrywałem. Łukieria przyglądała mi się i ciągle wchodziła tu z kuchni. Poszedłem do niej i powiedziałem, żeby się kładła i że jutro zacznie się „nowe życie”.

I wierzyłem w to ślepo, szaleńczo wierzyłem. O, jakież we mnie wzbierało uniesienie! Oczekiwałem tylko jutrzejszego dnia. A przede wszystkim nie wierzyłem w nic złego, mimo symptomów. Rozeznanie jeszcze nie wróciło ze wszystkim, mimo że łuska spadła z oczu, i długo jeszcze nie wracało — ach, do dzisiaj, aż do dzisiaj!!! Bo i jak mogło wrócić: przecież żyła jeszcze wtedy, przecież była tuż obok, przy mnie, a ja przy niej. „Jutro się zbudzi, a wtedy powiem jej to wszystko i wszystko zrozumie”. Tak wówczas rozumowałem, było to rozumowanie proste i jasne, stąd właśnie uniesienie! A najważniejszy był ten wyjazd do Boulogne. Nie wiem czemu, myślałem, że Boulogne — to jest wszystko, że zawiera się w tym coś ostatecznego. „Do Boulogne, do Boulogne!”... W opętaniu oczekiwałem rana.

III

Aż za dobrze rozumiem

A przecież to było dopiero kilka dni temu — pięć dni, dopiero pięć dni, w zeszły wtorek! Ach, gdybym miał jeszcze trochę czasu, gdyby tylko odrobinę zaczekała, a

— a rozproszyłbym mrok! Przecież się uspokoiła. Już nazajutrz słuchała mnie z uśmiechem, mimo zażenowania... Najważniejsze, że przez cały ten czas, całe te pięć dni, było w niej zażenowanie albo wstyd. Bała się też, bardzo się bała. Nie przeczę, nie będę przeczył jak jakiś szaleniec; strach był, ale czy mogła się nie bać? Przecież tak dawno staliśmy się sobie obcy, tak bardzo odzwyczajiliśmy się od siebie — i raptem to wszystko... Ale ja nie zważałem na jej strach, roіło mi się coś nowego, promiennego! To prawda, niewątpliwa prawda, że popełniłem błąd. A może nawet dużo błędów. Gdy się zbudziłem nazajutrz (było to w środę), popełniłem błąd: zacząłem od razu traktować ją jak przyjaciela. Pośpieszyłem się, zbytnio się pośpieszyłem, ale spowiedź była potrzebna, niezbędna, ba, więcej niż spowiedź! Nie ukryłem nawet tego, co przed samym sobą ukrywałem przez całe życie. Powiedziałem bez ogródek, że przez całą zimę nic tylko byłem pewien jej miłości. Wyjaśniłem jej, że kasa pożyczkowa była tylko upadkiem mej woli i umysłu, prywatnym pomysłem samobiczowania i samowywyższenia. Wyjaśniłem jej, że wtedy w bufecie rzeczywiście stchórzyłem, przez mój charakter, przewrażliwienie: onieśmieliła mnie atmosfera, bufet onieśmielił; sparaliżowała myśl: jakże ja tak ni stąd, ni zowąd wystąpię, czy nie wypadnie to głupio? Stchórzyłem nie przed pojedynkiem, lecz przed obawą śmieszności... A potem nie chciałem się przyznać i dręczyłem wszystkich, i ją za to dręczyłem, po to się z nią ożeniłem, aby ją za to dręczyć. W ogóle mówiłem prawie cały czas jak w malignie. W końcu sama brała mnie za ręce i prosiła, żebym przestał: „Przesadzasz... zadręczasz się” — i znów zaczynały się łzy, znów niemal ataki! Wciąż prosiła, żebym nie mówił takich rzeczy i nie wspominał ciągle.

Nie zważałem na te prośby albo niewiele zważałem. Boulogne! Tam jest słońce, nasze nowe słońce, powtarzałem to bez przerwy. Zamknąłem kasę, wszystkie sprawy przekazałem Dobronrawowi. Zaproponowałem jej nagle, żebyśmy wszystko rozdali ubogim oprócz podstawowych trzech tysięcy, otrzymanych od matki chrestnej, za które pojechalibyśmy do Boulogne, a potem wrócimy i zaczniemy nowe, pracowite życie. Tak też zostało postanowione, chociaż nic nie powiedziała... uśmiechnęła się tylko. I chyba raczej przez delikatność się uśmiechnęła, żeby mi nie zrobić przykrości. Widziałem przecież, że jej ciąży moja obecność, nie myślcie, że byłem takim głupcem i egoistą, żeby tego nie widzieć. Wszystko widziałem, aż do najdrobniejszych szczegółów, widziałem i wiedziałem najlepiej; cała moja nędzka leżała jak na dłoni!

Opowiadałem jej ciągle o sobie i o niej. I o Łukierii. Mówiłem, żem płakał... Oczywiście zmieniałem temat, starałem się nie przypominać pewnych rzeczy. I nawet się ożywiła raz czy dwa, przecież ja to pamiętam — tak, pamiętam! Czemu mówicie, że patrzyłem i nic nie widziałem? I gdyby tylko to się nie zdarzyło, wszystko by zmartwychwstało. Opowiadała mi przecież jeszcze onegdaj, kiedy rozmowa zesłała na lekturę i na to, co przeczytała przez tę zimę — opowiadała mi wszak ze śmiechem, przypomniawszy sobie tę scenę Gil Blasa z arcybiskupem Grenady. I to z jakim dziecinnyim śmiechem, miłym jak dawniej, przed ślubem (mgnienie! mgnienie!); jakże się cieszyłem! Zresztą bardzo mnie to uderzyło — ta scena z arcybiskupem: a więc znalazła w sobie tyle równowagi ducha i radości, żeby śmiać się czytając arcydzieło, kiedy tak siedziała w zimie. A więc już całkiem zaczęła się uspokajać, całkiem wierzyć, że zostawię ją tak. „Myślałam, że zostawisz mnie tak” — powiedziała to przecież we wtorek. O, ta myśl dziesięcioletniej dziewczynki! A przecież wierzyła — wierzyła, że w samej rzeczy wszystko zostanie tak: ona przy swoim stole, ja przy

swoim, i tak oboje, do sześćdziesięciu lat. Wtem nagle — podchodzę, mąż, i ten mąż potrzebuje miłości! O, nieporozumienie, o, moja ślepotą!

Błądem było i to, że patrzyłem na nią z zachwytem: należało się pohamować, bo zachwyt ją przerażał. Ale przecież się hamowałem, nie całowałem już więcej jej stóp. Ani razu nie dałem do poznania, że... no, że jestem mężem — o, nawet mi to przez myśl nie przeszło, ja się do niej tylko modliłem! Ale przecież nie mogłem zupełnie milczeć, nie mogłem w ogóle nie mówić! Nagle jej się zwierzyłem, że upajam się jej słowami, że uważam ją za bez porównania inteligentniejszą i bardziej wykształconą ode mnie. Zarumieniła się i powiedziała z zażenowaniem, że przesadzam. Wtedy ja, głupi, nie wytrzymałem i opowiedziałem jej, jaki byłem zachwycony stojąc za drzwiami i słuchając jej pojedynku — pojedynku niewinności z tą kreaturą, jak się rozkoszowałem jej rozumem, bystrością, dowcipem — przy takiej dziecięcej prostoduszności. Wzdrygnęła się, znów bąknęła, że przesadzam, ale raptem spochmurniała, ukryła twarz w dłoniach i znów zaniosła się łkaniem... Teraz nie wytrzymałem: znów padłem jej do nóg, znów zacząłem całować jej stopy i znów się skończyło atakiem hysterii, tak samo jak we wtorek. Było to wczoraj wieczorem, a nazajutrz rano...

Nazajutrz rano!? Szaleńcze, przecież to nazajutrz rano było dziś, dopiero co!

Posłuchajcie i zważcie: przecież kiedy spotkaliśmy się dziś przy samowarze (po tym wczorajszym ataku), aż mnie zdumiał jej spokój — tak, tak właśnie było! A ja przez całą noc drżałem ze strachu na myśl o tym, co było wczoraj. Raptem podchodzi do mnie, staje przede mną ze złożonymi rękami i (dopiero, dopiero co!) zaczyna mówić, że jest zbrodniarką, że sama wie o tym, że zbrodnia dręczyła ją przez całą zimę, dręczy i teraz... że w pełni docenia moją wielkoduszność... „będę ci wierną żoną, będę cię szanować...” W tym momencie zerwałem się i objąłem ją jak szalony! Całowałem ją, całowałem jej twarz, usta, jak mąż, pierwszy raz po długiej rozłące. I po co wychodziłem, tylko na dwie godziny... nasze paszporty zagraniczne... O Boże! Gdybym wrócił pięć minut — tylko pięć minut wcześniej! A tu ten tłum w naszej bramie, te spojżenia na mnie... O Boże, Boże!

Łukieria mówi (o, ja teraz Łukierii za nic w świecie nie puszcę, ona wszystko wie, była z nami przez całą zimę, będzie mi wszystko opowiadała), mówi, że kiedy wyszedłem z domu, najwyżej dwadzieścia minut przed moim powrotem — nagle weszła do pani do naszego pokoju spytać o coś, nie pamiętam, i zobaczyła, że obraz pani (ten właśnie Matki Boskiej) jest na wierzchu, stoi przed nią na stole, a pani jakby dopiero się przed nim modliła. — Co pani jest? — „Nic, Łukierio, możesz iść. — Nie, poczekaj, Łukierio” — podeszła do niej i ucałowała. — Jest pani szczęśliwa? — powiadam. — „Tak, Łukierio”. — Pan już dawno powinien był panią przeprosić... Dzięki Bogu, że się państwo pogodzili. — „Dobrze, powiada, Łukierio, idź już, Łukierio” — i uśmiechnęła się, ale jakoś tak dziwnie, że Łukieria nagle po dziesięciu minutach wróciła, żeby na nią popatrzeć: „Stoi sobie przy ścianie, przy samym oknie, rękę trzyma na ścianie, głowę oparła na rękę, stoi sobie i myśli. Tak głęboko się zamyśliła, nawet nie słyszy, że stoję i patrzę na nią z tamtego pokoju. Widzę, że się niby uśmiecha, stoi, myśli i uśmiecha się. Popatrzyłam na nią, odwróciłam się i cichutko wyszłam, no i tak sobie myślę, wtem słyszę — otworzyło się okno. Zaraz poszłam powiedzieć: »chłodno, proszę pani, jeszcze się pani przeziębii«, raptem widzę, weszła na okno, stoi już na nim wyprostowana, w otwartym oknie, plecami do mnie, w

rękach obraz trzyma. Serce we mnie omglało, wołam: »Pani, pani!«. Usłyszała, chciała się do mnie obrócić, ale się nie obróciła, jeno zrobiła krok, obraz przycisnęła do piersi — i wyskoczyła oknem".

Pamiętam tylko, że kiedy wszedłem na podwórko, ona była jeszcze ciepła. Wszyscy patrzą na mnie. Przedtem krzyczeli, a teraz nagle umilkli i nagle się rozstępują przede mną, a ona... ona leży z obrazem. Pamiętam jak przez mgłę, że podszedłem milcząc i długo patrzyłem. Wszyscy mnie obstąpili i coś do mnie mówią. Łukieria też tam była, a ja nie widziałem. Mówi, że rozmawiała ze mną. Pamiętam tylko tego człowieka: ciągle wołał do mnie, że „kapkę krwi z ust wyciekło, kapkę, kapkę" — i wskazywał mi na krew obok na kamieniu. Zdaje się, że dotknąłem krwi palcem, uwaląłem palec, patrzę na palec (to pamiętam), a on do mnie wciąż: „kapkę, kapkę!"

— A idźże z tą kapką! — wrzasnąłem podobno co sił i rzuciłem się na niego z pięściami...

O zgrozo, zgrozo! Nieporozumienie! Niepodobieństwo! Niemożliwość!

IV

Spóźniłem się tylko pięć minut

A czyż nie tak? Czyż jest to prawdopodobne? Czyż można powiedzieć, że jest to możliwe? Dlaczego, po co umarła ta kobieta?

O, wierzcie mi, wszystko rozumiem, ale dlaczego umarła — to jednak pytanie. Złękła się mojej miłości, namyślała się serio: przyjąć czy nie przyjąć, i nie zniosła pytania, i wołała umrzeć. Wiem, wiem, nie warto się głowić: za wiele naobiecowała, przelękła się, że nie będzie mogła dotrzymać — to jasne. Jest w tym kilka momentów naprawdę okropnych.

Bo czemu jednak umarła? Problem jest mimo wszystko otwarty. Pytanie pulsuje, w moim mózgu pulsuje. Ja bym przecież zostawił ją tak, gdyby chciała, żeby zostało tak. Ale nie uwierzyła, w tym rzecz! Nie, nie kłamię, to nie to. Po prostu dlatego, że ze mną trzeba było uczciwie postępować: jak kochać — to kochać w pełni, nie tak, jak kochałaby kupca. A ponieważ była zbyt czysta, zbyt wstydliva, żeby się zgodzić na taką miłość, jakiej potrzeba kupcowi, nie chciała mnie oszukiwać. Nie chciała oszukiwać półmiłością pod pozorem miłości lub ćwierćmiłością. Nadto uczciwa, tak, moi państwo! Chciałem wtedy zaszcześcić szerokie poglądy, pamiętacie! Dziwny pomysł.

Ciekaw jestem ogromnie, czy mnie szanowała? Nie wiem, czy mną pogardzała, czy nie. Nie sądzę, żeby pogardzała. Bardzo to dziwne, czemu mi ani razu nie przyszło do głowy przez całą zimę, że ona mną gardzi? Byłem święcie przekonany, że nie, aż do chwili kiedy spojrziała na mnie z surowym zdziwieniem. Właśnie z surowym. Wtedy od razu zrozumiałem, że mną gardzi. Zrozumiałem nieodwracalnie, na zawsze! Ach, niech tam, niechby nawet gardziła, bodaj przez całe życie, ale — niechby żyła, żyła! Dopiero co jeszcze ruszała się, mówiła. W ogóle nie rozumiem, jak wyskoczyła przez okno! Więc jak mogłem przypuszczać pięć minut wcześniej? Zawołałem Łukierię. Ja teraz Łukierii za nic w świecie nie puszcze, za nic w świecie!

Och, mogliśmy jeszcze się porozumieć. Myśmy się tylko strasznie odzwyczaili od siebie w ciągu zimy, ale czyż nie można było z powrotem przywyknąć? Czemuż byśmy nie mieli się zbliżyć na nowo i rozpocząć nowego życia? Jestem wielkoduszny,

ona też — oto już jakiś punkt styczności. Żeby tak jeszcze parę słów, dwa dni, nie więcej, a zrozumiałaby wszystko.

Ale najbardziej boli mnie, że to wszystko przypadek — zwyczajny barbarzyński, tępy przypadek! Jakże to boli! Pięć minut, jedynie tylko pięć minut się spóźniłem! Gdybym przyszedł pięć minut wcześniej — moment przemknąłby mimo jak obłok i nigdy potem nie przyszłoby jej to do głowy, i w końcu wszystko by zrozumiała. A teraz znów puste pokoje, znów jestem sam. O, tam zegar tyka, jego to nic nie obchodzi, nikogo mu nie żal. Nie ma tu nikogo — w tym cała tragedia!

Chodzę teraz, wciąż chodzę. Wiem, wiem, nie podpowiadajcie: śmiesz was, że narzekam na przypadek i na pięć minut? Ale to przecież bije w oczy. Zważcie tylko: nawet kartki nie zostawiła, że nikt nie ponosi winy za jej śmierć, tak jak to robią wszyscy. Mogła przecież przypuszczać, że będą niepokoić nawet Łukierię: „wszak byłaś z nią sama w mieszkaniu, no to ty żeś ją pchnęła”. W każdym razie umęcziliby ją włóceniem po sądach, gdyby cztery osoby na podwórku nie widziały przez okna oficyny, że stała z obrazem w rękach i że sama skoczyła. Ale to przecież też tylko przypadek, że ludzie stali i widzieli. Nie, była to tylko chwila, tylko bezwiedny odruch. Taka nagła fantazja! I co z tego, że się modliła przed obrazem? Nie znaczy to wcale, że przed śmiercią. Cała rzecz trwała zaledwie dziesięć minut, cała decyzja — właśnie kiedy stała przy ścianie oparłszy głowę na rękę i uśmiechając się. Wpadł jej nagle ten pomysł do głowy, zawirował i — i już nie mogła mu się oprzeć.

Nie... jest w tym jawne nieporozumienie, z pewnością. Ze mną można by jeszcze żyć. A jeżeli to niedokrwistość? Po prostu z niedokrwistości, z wyczerpania się energii życiowej? Zmęczyła się przez tę zimę, w tym rzecz...

Spóźniłem się!

Jaka ona szczuplutka w trumnie, jak się nosek zaostrzył! Rzęsy leżą jak strzałki. I pomyśleć, jak dziwnie upadła — niczego sobie nie uszkodziła, nie zmiażdżyła. Tylko ta jedna „kapka krwi”. Czyli deserowa łyżka. Wstrząs wewnętrzny. Dziwna myśl: a co, gdyby nie chować? Bo jeżeli ją zabiorą, to... o nie, to niemożliwe, żeby ją zabrano! Ach wiem, wiem, że ją muszą zabrać, nie jestem szaleńcem i nie majaczą, o nie, na odwrót, nigdy jeszcze nie myślałem tak trzeźwo — ale jak to możliwe, że znów w domu nikogo nie będzie, znów dwa pokoje, znów ja sam z zastawami. Koszmar, koszmar i jeszcze raz koszmar! Zadręczyłem ją, w tym rzecz!

Co mi teraz po waszych prawach? Co mi po waszych obyczajach, waszej moralności, waszym życiu, waszym państwie, waszej religii? Niech mnie sędzi wasz sędzia, niech mnie postawią przed sądem, przed waszym sądem publicznym, a powiem, że nie uznaję niczego. Sędzia krzyknie: „Proszę milczeć, oficerze!” A ja zawołam do niego: „Skąd weźmiesz teraz taką moc, żebyś mnie usłuchał? Dlaczego ponury przypadek zniszczył to, co miałem najdroższego na świecie? Na cóż mi teraz wasze prawa? Odłączam się od was”. O, mnie jest wszystko jedno!

Ślepa, ślepa! Martwa, nie słyszy! Nie wiesz, jakim bym cię rajem otoczył. Raj miałem w duszy, zasadziłbym go wokół ciebie. Niechbyś mnie nie kochała — no i co z tego? Wszystko byłoby tak, wszystko zostałoby tak. Opowiadałabyś mi wszystko jak przyjacielowi — no i cieszylibyśmy się i śmiali, patrząc sobie radośnie w oczy. I tak byśmy sobie żyli. Gdybyś nawet pokochała innego — niechby nawet tak było! Szłabyś z nim, śmiałabyś się, a ja bym się wam przyglądał z drugiej strony ulicy... Och, zgodziłbym się na wszystko, byleby chociaż raz otworzyła oczy! Na jedno mgnienie,

tylko na jedno! Spojrzałyby na mnie jak dziś rano, kiedy stała przede mną i przysięgała, że będzie wierną żoną! Och, po jednym spojrzeniu zrozumiałaby wszystko!

Przypadek! O, naturo! Ludzie są sami na ziemi — w tym tragedia. „Jestli w polu żyw człowiek?” — woła witeź rosyjski. Wołam i ja, nie witeź, ale nikt się nie odzywa. Podobno słońce ożywia wszechświat. Wезде słońce i — spójrzcie na nie, czyż to nie trup? Wszystko jest martwe i wszędzie są trupy. Sami tylko ludzie, a wokół nich milczenie — i to jest ziemia! „Ludzie, kochajcie się” — kto to powiedział? Czyje to przykazanie? Tyka zegar, obojętnie, ohydnie. Druga po północy. Jej trzewiczki stoją przy łóżeczku, jakby na nią czekały... Nie, serio, jak ją jutro zabiorą, co ja pocznę?
1876

Przełożyła Maria Leśniewska
